

SCHULZ BRUNO

SANATORIUM
POD
KLEPSYDRĄ

Schulz Bruno

Sanatorium Pod Klepsydrą

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23550546

Sanatorium Pod Klepsydrą (zbiór):

Аннотация

Swoista kontynuacja Sklepów cynamonowych, jednego z najbardziej oryginalnych zbiorów opowiadań literatury dwudziestolecia międzywojennego. Narrator – Józef – rozwija przed czytelnikiem labirynt na wprost fantastycznych wizji dorastania i młodości. Znowu codzienność staje się surrealistyczną opowieścią mityczną, a na pozór zwykłe czynności symbolami. Wspaniałe, pulsujące znaczeniami język Schulza hipnotyzuje, oczarowuje, stanowi drzwi do onirycznego świata wspomnień. Zdałoby się niemożliwego zadania ekranizacji prozy Schulza podjął się w 1973 roku Wojciech Jerzy Has. Stworzony przez niego kalejdoskopowy, poetycki obraz, wymyka się dosłowności. Klamrą kompozycyjną filmu jest tytułowe opowiadanie i motyw podróży pociągiem. W rolę Józefa wcielił się Jan Nowicki. Sanatorium pod Klepsydrą jest jednym z 21 filmów pokazywanych w ramach projektu „Martin Scorsese Presents: Masterpieces of Polish Cinema”.

Содержание

Księga	6
I	6
II	9
III	11
IV	15
V	21
Genialna epoka	28
I	28
II	30
III	39
IV	43
Wiosna	47
I	47
II	50
III	57
IV	60
V	61
VI	62
VII	64
VIII	67
IX	68
X	69
XI	71

XII	72
XIII	74
XIV	78
XV	80
XVI	81
XVII	85
XVIII	93
XIX	95
Конец ознакомительного фрагмента.	98

Bruno Schulz

Sanatorium Pod Klepsydram (zbiór)

Swoista kontynuacja *Sklepów cynamonowych*, jednego z najbardziej oryginalnych zbiorów opowiadań literatury dwudziestolecia międzywojennego.

Narrator – Józef – rozwija przed czytelnikiem labirynt na wpół fantastycznych wizji dorastania i młodości. Znów codzienność staje się surrealistyczną opowieścią mityczną, a na pozór zwykłe czynności symbolami. Wspaniały, pulsujący znaczeniami język Schulza hipnotyzuje, oczarowuje, stanowi drzwi do onirycznego świata wspomnień.

Zdałoby się niemożliwego zadania ekranizacji prozy Schulza podjął się w 1973 roku Wojciech Jerzy Has. Stworzony przez niego kalejdoskopowy, poetycki obraz, wymyka się dosłowności. Klamrą kompozycyjną filmu jest tytułowe opowiadanie i motyw podróży pociągiem. W rolę Józefa wcielił się Jan Nowicki. *Sanatorium pod Klepsydram* jest jednym z 21 filmów pokazywanych w ramach projektu „Martin Scorsese Presents: Masterpieces of Polish Cinema”.

Księga

I

Nazywam ją po prostu Księgą, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobojętnością transcendentu¹, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi załśnić, zapachnieć, spłynąć tym dreszczem przestachu, przecuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka przekracza pojemność naszego zachwytu. Cóż pomógłby patos przymiotników i napuszystość² epitetów wobec tej rzeczy bez miary, wobec tej świetności bez rachuby. Czytelnik zresztą, czytelnik prawdziwy, na jakiego liczy ta powieść, zrozumie i tak, gdy mu spojrzę głęboko w oczy i na dnie samym załsnię tym blaskiem. W tym krótkim a mocnym spojrzeniu, w przelotnym ściśnięciu ręki pochwyci on, przejmie, odpozna – i przymknie oczy z zachwytu nad tą recepcją głęboko. Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?

Księga... Gdzieś w zaraniu dzieciństwa, o pierwszym

¹ *transcendent* – sfera nadprzyrodzona. [przypis edytorski]

² *napuszystość* – dziś: napuszenie. [przypis edytorski]

świcie życia jaśniał horyzont od jej łagodnego światła. Leżała pełna chwały na biurku ojca, a ojciec, pogrążony w niej cicho, pocierał poślinionym palcem cierpliwie grzbiet tych odbijanek, aż ślepy papier zaczynał mglić się, mętnieć, majaczyć błogim przecuciem i z nagłą złuszczał się kłakami bibuły i odsłaniał rąbek pawiooki i urzęsiony, a wzrok schodził, mdlejąc, w dziewiczy świt bożych kolorów, w cudowną mokrość najczystszych lazurów.

O, to przetarcie się bielma, o, ta inwazja blasku, o błoga wiosno, o ojcie...

Czasem ojciec wstawał od Księgi i odchodził. Wówczas zostawałem z nią sam na sam i wiatr szedł przez jej stronice i obrazy wstawały.

I gdy tak wiatr cicho kartkował te arkusze, wywiewając kolory i figury, spływał dreszcz przez kolumny jej tekstu, wypuszczając spomiędzy liter klucze jaskółek i skowronków. Tak ulatywała, rozsypując się, stronica za stronicą i wsiąkała łagodnie w krajobraz, który syciła barwnością. Czasami spała i wiatr rozdmuchiwał ją cicho jak różę stulistną i otwierała listki, płatek za płatkim, powieka pod powieką, wszystkie ślepe, aksamitne i uśpione, kryjąc w sednie swym na dnie lazuruową źrenicę, pawi rdzeń, krzyczące gniazdo kolibrów.

To było bardzo dawno. Matki jeszcze wówczas nie było. Spędzałem dni sam na sam z ojcem w naszym, wielkim wówczas jak świat, pokoju.

Pryzmatyczne kryształki, zwisające z lampy, napępniały pokój

rozproszonymi kolorami, rozpryskaną po wszystkich kątach tęczą i gdy lampa obracała się na swych łańcuchach, wędrował cały pokój fragmentami tęczy, jak gdyby sfery siedmiu planet³ przesuwwały się kręcąc przez siebie. Lubiłem stawać między nogami ojca, obejmując je z obu stron, jak kolumny. Czasami pisał listy. Siedziałem na biurku i śledziłem z zachwytem zakrętasy podpisu, zawile i wirujące, jak trele koloraturowego⁴ śpiewaka. W tapetach pączkowały uśmiechy, wykluwały się oczy, koziołkowały figle. Aby mnie ubawić, ojciec wypuszczał w tęczową przestrzeń bańki mydlane z długiej słomki. Obijały się o ściany i pękały, zostawiając w powietrzu swe kolory.

Potem przysłała matka i wczesna ta, jasna idylla⁵ skończyła się. Uwiedziony pieszczotami matki, zapomniałem o ojcu, życie moje potoczyło się nowym, odmiennym torem, bez świąt i bez cudów, i byłbym może na zawsze zapomniał o Księdze, gdyby nie ta noc i ten sen.

³ *sfery siedmiu planet* – w kosmologii przed Kopernikiem zakładano, że planety krążą wokół ziemi po przypisanych im sferach. [przypis edytorski]

⁴ *koloraturowy* – umiejący wykonywać koloratury, tj. ozdobniki wokalne. [przypis edytorski]

⁵ *idylla* – sielanka. [przypis edytorski]

II

Obudziłem się raz w ciemny świt zimowy – pod zwałami ciemności paliła się, głęboko w dole, ponura zorza – i mając jeszcze pod powiekami mrowie mglistych figur i znaków, zacząłem majaczyć niejasno i zawile, wśród udręki i próżnego żalu, o starej, zaginionej Księżde.

Nikt mnie nie rozumiał i, rozdrażniony tą tępotą, zacząłem natarczywiej naprzykrzać się i molestować rodziców w niecierpliwości i gorączce.

Bosy i w koszuli tylko przerzuciłem, drżąc z podniecenia, bibliotekę ojca i rozczarowany, gniewny opisywałem bezradnie przed osłupiałym audytorium tę rzecz nie do opisania, której żadne słowo, żaden obraz, nakreślony drżącym i wydłużonym mym palcem, nie mógł dorównać. Wyczerpywałem się bez końca w relacjach pełnych splełania i sprzeczności i płakałem z bezsilnej rozpacz.

Stali nade mną bezradni i zmieszani, wstydząc się swej bezsilności. W głębi duszy nie byli bez winy. Moja gwałtowność, ton żądania niecierpliwy i pełen gniewu dawał mi pozór słuszności, przewagę dobrze uzasadnionej pretensji. Przybiegali z różnymi książkami i wciskali mi je w ręce. Odrzucałem je z oburzeniem.

Jedną z nich, gruby i ciężki foliant⁶, ojciec mój wciąż na nowo

⁶ *foliant* a. *foliant* (daw.) – księga dużego formatu. [przypis edytorski]

podsuwał mi z nieśmiałą zachętą. Otworzyłem ją. Była to Biblia. Ujrzałem na jej kartach wielką wędrówkę zwierząt, płynącą gościńcami, rozgałęzioną pochodami po kraju dalekim, ujrzałem niebo w kluczach całe i w łopotach, ogromną odwróconą piramidę, której daleki wierzchołek dotykał Arki.

Podniosłem oczy na ojca, pełne wyrzutu: – Ty wiesz, ojcze – wołałem – ty wiesz dobrze, nie ukrywaj się, nie wykręcaj! Ta książka cię zdradziła. Dlaczego dajesz mi ten skażony apokryf⁷, tysiączną kopię, nieudolny falsyfikat? Gdzie podziałeś Księgę?

Ojciec odwrócił oczy.

⁷ *apokryf* – księga nie włączona do kanonu Pisma św. [przypis edytorski]

III

Minęły tygodnie i wzburzenie moje opadło i uciszyło się, ale obraz Księgi płonął dalej w mej duszy jasnym płomieniem, wielki, szeleszczący Kodeks, wzburzona Biblia, przez której karty szedł wiatr, plądrując ją, jak ogromną, rozsypującą się różę.

Ojciec, widząc mnie spokojniejszym, zbliżył się raz ostrożnie i rzekł tonem łagodnej propozycji: – W gruncie rzeczy istnieją tylko książki. Księga jest mitem, w który wierzymy w młodości, ale z biegiem lat przestaje się ją traktować poważnie. – Miałem już wówczas inne przekonanie, wiedziałem, że Księga jest postulatem, że jest zadaniem. Czułem na barkach ciężar wielkiego posłannictwa. Nie odpowiedziałem nic, pełen pogardy i zacieklej ponurej dumy.

W tym czasie bowiem byłem już w posiadaniu tego strzępu książki, tych żalonych resztek, które dziwny traf losu przemycił w me ręce. Kryłem skarb swój troskliwie przed wszystkimi oczyma, bolejąc nad głębokim upadkiem tej księgi, dla której okaleczonych resztek nie zdołałbym zjednać niczyjego zrozumienia. Stało się to tak.

Pewnego dnia tej zimy zastałem Adelę w trakcie sprząwania, ze szczotką w ręku, wspartą o pulpit, na którym leżał podarty jakiś szpargał. Nachyliłem się przez jej ramię, nie tyle z ciekawości, ile żeby znowu odurzyć się zapachem jej ciała, którego młody

urok objawił się był niedawno obudzonym mym zmysłom.

– Patrz – mówiła, znosząc bez protestu moje przytulenie się – czy możliwe jest, żeby komuś wyrosły włosy do ziemi? Chciałbym mieć takie.

Spojrzałem na rycinę. Na dużej karcie *in folio*⁸ był tam wizerunek kobiety o kształtach raczej silnych i przysadkowatych, o twarzy pełnej energii i doświadczenia. Z głowy tej damy spływał ogromny kożuch włosów, staczał się ciężko z pleców i włókł się końcami grubych splotów po ziemi. Był to jakiś nieprawdopodobny wybryk natury, płaszcz fałdzisty i obfity, wyprzedzony z korzonek włosów, i trudno było wyobrazić sobie, żeby ten ciężar nie sprawiał dotkliwego bólu i nie obezwładniał obarczonej nim głowy. Ale właścicielka tej wspaniałości zdawała się z dumą ją nosić, a tekst wydrukowany obok tłustymi czcionkami głosił historię tego cudu i zaczynał się od słów: *Ja, Anna Csillag, urodzona w Karłowicach na Morawach, miałam słaby porost włosów...*

Była to długa historia, podobna w konstrukcji do historii Hioba. Anna Csillag z dopustu bożego dotknięta była słabym porostem. Całe miasteczko litowało się nad tym upośledzeniem, które wybaczano jej ze względu na nienaganny żywot, chociaż nie mogło ono być całkiem niezawinione. I oto stało się na skutek gorących modłów, że zdjęta była z jej głowy klątwa. Anna Csillag dostała łaski oświecenia, otrzymała znaki i wskazówki i sporządziła specyfik, lek cudowny, który jej

⁸ *in folio* – dawne określenie dużego formatu. [przypis edytorski]

głowie przywrócił urodzajność. Zaczęła porastać we włosy i nie dość na tym, jej mąż, bracia, kuzynowie także z dnia na dzień opilśniali się tęgim, czarnym futrem zarostu. Na drugiej stronie pokazana była Anna Csillag w sześć tygodni po objawieniu jej recepty, w otoczeniu swych braci, szwagrów i bratanków, mężów brodatych po pas i wąsatych, i z podziwem patrzyło się na ten prawdziwy wybuch nie sfalszowanej, niedźwiedziej męskości. Anna Csillag uszczęśliwiła całe miasteczko, na które spłynęło prawdziwe błogosławieństwo w postaci falujących czupryn i grzyw ogromnych i którego mieszkańcy zamiatali ziemię brodami jak miotły szerokimi. Anna Csillag stała się apostołką włochości. Uszczęśliwiwszy rodzinne miasto, zapragnęła uszczęśliwić świat cały i prosiła, zachęcała, błagała, aby przyjąć dla zbawienia swego ten dar boży, ten lek cudowny, którego sama jedna знаła tajemnicę.

Tę historię przeczytałem przez ramię Adeli i nagle tknęła mnie myśl, od której uderzenia stanąłem cały w płomieniach. Toż to była Księga, jej ostatnie stronicę, jej nieurzędowy dodatek, tylna oficyna⁹ pełna odpadków i rupieci! Fragmenty tęczy zakręciły się w wirujących tapetach, wyrwałem z rąk Adeli szpargał i głosem odmawiającym mi posłuszeństwa wyzionąłem: – Skąd wzięłaś tę książkę?

– Głupi – rzekła, wzruszając ramionami – przecież ona leży

⁹ *oficyna* – skrzydło budynku, zwykle przeznaczone na pomieszczenia gospodarcze.
[przypis edytorski]

tu zawsze i co dzień wydzieramy z niej kartki na mięso do jatek¹⁰
i na śniadanie dla ojca.

¹⁰ *jatki* – rzeźnia. [przypis edytorski]

IV

Pobiegłem do mego pokoju. Wzburzony do głębi, z płonąca twarzą zacząłem wertować¹¹ latającymi rękami kartki szpargału. Niestety, było ich zaledwie kilkanaście. Ani jedna stronica właściwego tekstu, same tylko ogłoszenia i anonse. Zaraz po prorocत्वach długowłosej Sybilli następowała kartka poświęcona cudownemu lekowi na wszystkie choroby i ułomności. Elsa – fluid z łabędziem – nazywał się ten balsam i działał cuda. Stronica pełna była świadectw uwierzytelnionych, wzruszających relacyj osób, na których cud się dokonał.

Z Siedmiogrodu, ze Sławonii, z Bukowiny przychodzili ozdrowieńcy pełni zapалу, by przyświadczyć, gorącym i wzruszonym słowem opowiedzieć swe dzieje. Szli obandażowani i zgarbieni, potrząsając już niepotrzebnym szczudłem, odrzucali plastry z oczu i opaski ze skrofu¹².

Poprzez te wędrówki kalek widziało się dalekie i smutne miasteczka o białym jak papier niebie, stwardniałe od prozy i codzienności. Były to zapomniane w głębi czasu miasta, gdzie ludzie przywiązani byli do swych małych losów, od których nie odrywali się ani na chwilę. Szewc był do cna szewcem, pachniał skórą, miał twarz małą i zbiedzoną, krótkowzrocne, blade oczy nad bezbarwnym, wężącym wąsem i czuł się na

¹¹ *wertować* – przeglądać, przewracając kartki. [przypis edytorski]

¹² *skrofuły* – nabrzmiałe węzły chłonne szyi (choroba bydła). [przypis edytorski]

wskroś szewcem. I jeżeli nie bolały ich wrzody, nie łamały kości, puchlina nie kładła na barłóg, byli szczęśliwi bezbarwnym, szarym szczęściem, palili tani tytoń, żółty tytoń cesarsko-królewski, lub marzyli tępo przed kolekturą loterii.

Koty przebiegały im drogę, to z lewej, to z prawej strony, śnił im się czarny pies i świerzbiała ich ręka. Czasami pisali listy z listowników, nalepiali troskliwie markę¹³ i powierzali je z wahaniem i pełni nieufności skrzynce pocztowej, w którą uderzali pięścią, jak gdyby ją budzili. I przez sny ich przelatywały potem białe gołębie z listami w dzióbkach i znikały w obłokach.

Następne stronicie wznosiły się ponad sferę spraw codziennych w regiony czystej poezji.

Były tam harmonie, cytry i harfy, ongi¹⁴ instrumenty chórów anielskich, dziś dzięki postępom przemysłu udostępnione po popularnych cenach prostemu człowiekowi, bogobojnemu ludowi dla pokrzepienia serc i godziwej rozrywki.

Były tam katarynki, prawdziwe cuda techniki, pełne ukrytych wewnątrz fletów, gardziołek i piszczałek, organków trelujących słodko jak gniazda szlochających słowików, nieoceniony skarb dla inwalidów, źródło lukratywnych do chodów dla kalek i niezbędne w ogóle w każdym muzycznym domu. I widziało się te katarynki pięknie malowane, wędrujące na plecach niepokąźnych szarych staruszków, których twarze, wyjedzone przez życie, były jakby zasnute pajęczyną i całkiem niewyraźne,

¹³ marka (daw.) – znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

¹⁴ ongi (daw.) – dawniej. [przypis edytorski]

twarze o łzawiących, nieruchomych oczach, które z wolna wyciekały, twarze wyjałowione z życia, tak odbarwione i niewinne, jak kora drzew splekana od pogód wszelkich, i pachnące już tylko deszczem i niebem jak ona.

Dawno zapomnieli, jak się nazywali i kim byli, i tak zagubieni w sobie szurgali z ugiętymi kolanami drobnymi, równymi kroczkami w swych ogromnych, ciężkich butach po linii całkiem prostej i jednostajnej, wśród krętych i zawiłych dróg przechodniów.

W białe, bezsłoneczne przedpołudnia, przedpołudnia szcerstwiałe od zimna, pogrążone w codzienne sprawy dnia, wyplątywali się niepostrzeżenie z tłumu, stawiali katarynkę na krzyżulcach na zbiegu ulic, pod żółtą smugą nieba, przekreśloną drutem telegraficznym, wśród ludzi śpieszących tępo z nastawionymi kołnierzami, i zaczynali swą melodię, nie od początku, lecz w miejscu, gdzie wczoraj przerwali, i grali: „Daisy, Daisy, ty mi odpowiedź daj...”, podczas gdy z kominów puszyły się białe pióropusze pary. I rzecz dziwna – ta melodia, zaledwie rozpoczęta, wskakiwała zaraz w wolną lukę, w swoje miejsce w tej godzinie i w tym krajobrazie, jak gdyby od zawsze należała do tego dnia zamyślonego i zgubionego w sobie samym, a w takt jej biegły myśli i szare troski śpieszących.

I gdy po pewnym czasie kończyła się długim, wyciągniętym wizgotem, wyprutym z trzewi katarynki, która zaczynała się z całkiem nowej beczki – myśli i troski zatrzymywały się na chwilę, jakby w tańcu, by zmienić krok, a potem bez

zastanowienia zaczynały kręcić się w odwrotnym kierunku w takt nowej melodii, która wybiegła z fujarek katarynki: „Małgorzato, skarbie mojej duszy...”

I w tępym indyferentyzmie¹⁵ tego przedpołudnia nikt nie zauważył nawet, że sens świata zmienił się do gruntu, że biegł on już nie w takt „Daisy, Daisy”, ale wprost przeciwnie „Małgo-rzato...”

Obracamy znów kartkę... Cóż to? Czy pada deszcz wiosenny? Nie, to ćwierkanie ptaszków sypie się jak szary śrut na parasole, bo oto oferuje się tu prawdziwe kanarki harceńskie, klatki pełne szczygłów i szpaków, koszyki pełne śpiewaków i gadułów skrzydlatych. Wrzecionowate i lekkie, jakby wypchane watą, podskakujące w drgawkach, zwrotne, jak na gładkich, kwilących sworzniach, rozświergotane jak kukułki zegarów – były one osłoda samotności, zastępowały kawalerom ciepło ogniska rodzinnego, wywabiały z najtwardszych serc błogość uczucia macierzyńskiego, tyle miały piskłęcego i wzruszającego, i jeszcze gdy obracało się nad nimi stronicę, posyłały za odchodzącym złączone swe, wabiące ćwierkanie.

Ale w dalszym ciągu staczał się ten skrypt żaloszny w coraz głębszy upadek. Teraz zszedł na bezdroża wątpliwej jakiejś szarlatańskiej mantyki¹⁶. W długim płaszczu, z uśmiechem na wpół pochłoniętym przez czarną brodę, któż to prezentował się do usług publiczności? Pan Bosco z Mediolanu, swego znaku

¹⁵ *indyferentyzm* – obojętność. [przypis edytorski]

¹⁶ *mantyka* – wróżbiarstwo. [przypis edytorski]

mistrz czarnej magii, i mówił długo i niewyraźnie, demonstrując coś na końcach palców, co nie czyniło rzeczy zrozumiałszą. I choć w przekonaniu własnym dochodził do zadziwiających konkluzyj¹⁷, które ważyć się zdawał przez chwilę między czułymi palcami, zanim ich lotny sens nie uszedł z palców w powietrze, i choć pointował on subtelne przeguby dialektyki ostrzegawczym podniesieniem brwi, przygotowującym na rzeczy niezwykle, nie rozumiało się go, a co gorsza, nie pragnęło nic rozumieć i pozostawiało się go z jego gestykulacją, z przyciszonym tonem i całą skalą ciemnych uśmiechów, ażeby przekartkować szybko ostatnie, rozpadające się w strzępy stronicę.

Na tych ostatnich stronicach, które w sposób widoczny popadały w majaczkliwe bredzenie, w jawny bezsens, jakiś gentleman ofiarowywał swoją niezawodną metodę, jak stać się energicznym i stanowczym w decyzjach, i mówił wiele o zasadach i charakterze. Ale wystarczyło tylko obrócić stronicę, ażeby być zupełnie zdezorientowanym w rzeczach stanowczości i zasad.

Tam drobnym kroczkiem wychodziła spętana trenem¹⁸ sukni niejaka pani Magda Wang i oświadczała z wysokości ściągniętego dekoltu, że kpi sobie z męskiej stanowczości i zasad, i że jej specjalnością jest łamać najsilniejsze charaktery. (Tu ruchem nóżki układała tren na ziemi.) W tym celu

¹⁷ *konkluzja* – wniosek. [przypis edytorski]

¹⁸ *tren* – ciągnąca się po ziemi część sukni. [przypis edytorski]

istnieją metody, ciągnęła przez zaciśnięte zęby, niezawodne metody, nad którymi nie chce się rozwodzić, odsyłając do swych pamiętników, zatytułowanych *Z purpurowych dni* (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), w których złożyła rezultaty swych doświadczeń kolonialnych w dziedzinie tresury ludzi (ten wyraz z naciskiem i ironicznym błyskiem oczu). I rzecz dziwna, ta opieszale i bezceremonialnie mówiąca dama zdawała się być pewna aprobaty tych, o których z takim cynizmem mówiła, i wśród osobliwego zawrotu i migotania czuło się, że kierunki oznaczeń moralnych przesunęły się dziwnie i że jesteśmy tu w innym klimacie, w którym kompas uczuć działa na opak.

To było ostatnie słowo Księgi, które zostawiało smak dziwnego oszołomienia, mieszaninę głodu i podniecenia w duszy.

V

Nachylony nad tą Księgą, z twarzą płonąca jak tęcza, gorzałem¹⁹ cicho od ekstazy do ekstazy. Zatopiony w czytaniu zapomniałem o obiedzie. Nie omyliło mnie przeczucie. Był to Autentyk, święty oryginał, choć w tak głębokim poniżeniu i degradacji. I kiedy późnym zmierzchem, błogo uśmiechnięty, układałem szpargał w najgłębszej szufladzie, nakrywając go dla niepoznaki innymi książkami – zdawało mi się, że to zorzę układałam do snu w komodzie, zorzę, która wciąż na nowo od samej siebie się zapalała i szła przez wszystkie płomienie i purpury, i wracała raz jeszcze, i nie chciała się skończyć.

Jakże zobojeźniały mi wszystkie książki!

Bo zwykle książki są jak meteory. Każda z nich ma jedną chwilę, moment taki, kiedy z krzykiem wzlatuje jak feniks²⁰, płonąca wszystkimi stronicami. Dla tej jednej chwili, dla tego jednego momentu kochamy je potem, choć już wówczas są tylko popiołem. I z gorzką rezygnacją wędrujemy niekiedy późno przez te wystygłe stronice, przesuwając z drewnianym klekotem, jak różaniec, martwe ich formułki.

Egzegeci²¹ Księgi twierdzą, że wszystkie książki dążą do

¹⁹ *gorzeć* – płonąć. [przypis edytorski]

²⁰ *feniks* – legendarny ptak, ginący w płomieniach i odradzający się z popiołów. [przypis edytorski]

²¹ *egzegeta* – interpretator Pisma św. [przypis edytorski]

Autentyku. Żyją one tylko wypożyczonym życiem, które w momencie wlotu wraca do swego starego źródła. Znaczy to, że książek ubywa, a Autentyk rośnie. Jednakowoż nie chcemy nużyć czytelnika wykładem Doktryny. Chcielibyśmy tylko zwrócić na jedną rzecz uwagę: Autentyk żyje i rośnie. Co z tego wynika? Oto, gdy następnym razem otworzymy nasz szpargał, kto wie, gdzie będzie już wówczas Anna Csillag i jej wiermi. Może ujrzymy ją, pątniczkę długowłosa, zamiatającą swym płaszczem gościńce Moraw, wędrującą przez kraj daleki, przez białe miasteczka pogrążone w codzienności i prozie i rozdającą próbki balsamu Elsa-fluid między prostaczków bożych, trapionych wyciekami i świerzbem. Ach, co zrobią wówczas poczciwi brodacze miasteczka, unieruchomieni przez olbrzymie zarosty, co zrobi wierna ta gmina, skazana na pielęgnowanie i administrację nadmiernych swych urodzajów? Kto wie, czy nie kupią sobie wszyscy prawdziwych katarynek ze Szwarcwaldu i nie podążą w świat za swą apostołką, ażeby szukać jej po kraju, grając na wszystkich miejscach „Daisy, Daisy”?

O, odysejo brodaczy, błędzących z katarynkami od miasta do miasta w poszukiwaniu swej matki duchowej! Kiedyż znajdzie się rapsod²² godny tej epopei? Bo komuż zostawili gród oddany ich pieczy, komu powierzyli rząd dusz w mieście Anny Csillag? Czy nie mogli przewidzieć, że pozbawione swej duchowej elity, swych patriarchów wspaniałych – miasto popadnie w zwątpienie i odszczepieństwo i otworzy swe bramy – komu? – ach,

²² rapsod (daw.) – śpiewak a. poeta. [przypis edytorski]

cynicznej i rewolucyjnej Magdzie Wang (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), która założyła w nim szkołę tresury i łamania charakterów?

Ale powróćmy do naszych pielgrzymów.

Któż nie zna tej starej gwardii, tych Cymbrów wędrownych, głębokich brunetów o potężnych na pozór ciałach, zrobionych z tkanki bez tężyzny i soków? Cała ich siła, cała moc weszła w uwłosienie. Antropologowie głowią się od dawna nad tą osobliwą rasą, odzianą zawsze w czarne ubrania, w grube, srebrne łańcuchy na brzuchach, z palcami w potężnych, mosiężnych sygnetach²³.

Lubię ich, tych na przemian Kasprów i Baltazarów, ich głęboką powagę, ich funebryczną²⁴ dekoratywność, te wspaniałe okazy męskie z pięknymi oczami o tłustym połysku palonej kawy, lubię ten szlachetny brak żywotności w ciałach wybudowanych i gąbczastych, morbidez²⁵ wygasających rodów, ich sapiący oddech z potężnych piersi i nawet ten zapach waleriany²⁶, jaki roztaczają ich brody.

Jak Aniołowie Oblicza stają czasem niespodzianie w drzwiach naszych kuchni, ogromni i sapiący, i prędko zmęczeni – ocierają pot ze zroszonego czoła, przewracając niebieskimi białkami

²³ *sygnet* – pierścień z monogramem lub herbem. [przypis edytorski]

²⁴ *funebryczny* – pogrzebowy. [przypis edytorski]

²⁵ *morbidezza* (z wł.) – nadmierna delikatność. [przypis edytorski]

²⁶ *waleriana* – lekarstwo uspokajające i nasenne, wykonywane z kozłka lekarskiego. [przypis edytorski]

oczu, i w tym momencie zapominają swe poselstwo i zdziwieni, szukając wybiegu, pretekstu dla swego przybycia – wyciągają dłoń po jałmużnę.

Wracamy do Autentyku. Ależ nie opuszczaliśmy go nigdy. I tu wskazujemy na dziwną cechę Szpargału, już teraz jasną czytelnikowi, że rozwija się on podczas czytania, że ma granice ze wszech stron otwarte dla wszystkich fluktuacji i przepływów.

Teraz na przykład już nikt nie oferuje tam szczygłów harceńskich, bo z katarynek tych brunetów, z przełamań i zagieć melodii wyfruwają w nieregularnych odstępach te pierzaste motyle i rynek zasypany jest nimi, jak kolorowymi czcionkami. Ach, co za rozmnożenie migotliwe i pełne szczebiotu... Dokoła wszystkich cypli, drążków i chorągiewek tworzą się prawdziwe kolorowe zatory, trzepoty i walki o miejsce. I wystarczy wystawić przez okno pałąk, ażeby oblepiony trzepocącym i ciężkim gronem wciągnąć go z powrotem do izby.

Zbliżamy się teraz w naszym opowiadaniu szybkimi krokami do tej wspaniałej i katastroficznej epoki, która w biografii naszej nosi nazwę epoki genialnej.

Daremnie przeczylibyśmy, że czujemy już teraz to ściśnięcie serca, ten błogi niepokój, świętą trewę, jaka poprzedza rzeczy ostateczne. Wkrótce zabraknie nam w tyglach kolorów, a w duszy blasku, aby położyć najwyższe akcenty, nakreślić najświetlitsze i już transcendentalne²⁷ kontury w tym malowidle.

²⁷ *transcendentalny* – przekraczający poznanie zmysłowe. [przypis edytorski]

Cóż to jest epoka genialna i kiedy to było?

Tu zmuszeni jesteśmy stać się na chwilę całkiem ezoteryczni, jak pan Bosco z Mediolanu, i zniżyć nasz głos do wnikliwego szeptu. Musimy pointować nasze wywody wieloznacznymi uśmiechami i, jak szczyptę soli, rozcierać w koniuszkach palców delikatną materię imponderabiliów²⁸. Nie nasza wina, jeżeli czasami będziemy mieli wygląd tych sprzedawców niewidzialnych tkanin, demonstrujących w wyszukanych gestach oszukańczy swój towar.

Więc czy epoka genialna zdarzyła się, czy nie zdarzyła? Trudno odpowiedzieć. I tak, i nie. Bo są rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, ażeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbują one tylko się zdarzyć, próbują gruntu rzeczywistości, czy je uniesie.

I wnet się cofają, bojąc się utracić swą integralność w ułomności realizacji. A jeśli nadłamały swój kapitał, pogubiły to i owo w tych próbach inkarnacji²⁹, to wnet, zazdrosne, odbierają swą własność, odwołują ją z powrotem, reintegrują się i potem w biografii naszej zostają te białe plamy, wonne stygmaty, te pogubione srebrne ślady bosych nóg anielskich, rozsiane ogromnymi krokami po naszych dniach i nocach, podczas gdy ta pełnia chwały przybiera i uzupełnia się nieustannie i kulminuje nad nami, przekraczając w triumfie

²⁸ *imponderabilia* – rzeczy istotne, których jednak nie da się dokładnie zmierzyć. [przypis edytorski]

²⁹ *inkarnacja* – wcielenie. [przypis edytorski]

zachwyty po zachwycie.

A jednak w pewnym sensie mieści się ona cała i integralna w każdej ze swych ułomnych i fragmentarycznych inkarnacyj. Zachodzi tu zjawisko reprezentacji i zastępczego bytu. Jakieś zdarzenie może być co do swej proveniencji³⁰ i swoich własnych środków małe i ubogie, a jednak, zbliżone do oka, może otwierać w swoim wnętrzu nieskończoną i promienną perspektywę dzięki temu, że wyższy byt usiłuje w nim się wyrazić i gwałtownie w nim błyszczy.

Tak tedy będziemy zbierali te aluzje, te ziemskie przybliżenia, te stacje i etapy po drogach naszego życia, jak ułamki potłuczonego zwierciadła. Będziemy zbierali po kawałku to, co jest jedno i niepodzielne, naszą wielką epokę, genialną epokę naszego życia.

Możemy ją w diminucyjnym zapędzie³¹, sterroryzowani nieobjętością transcendentu³² – zbyt ograniczyli, zakwestionowali i zachwiali. Gdyż mimo wszystkich zastrzeżeń: ona była.

Ona była i nic nam nie zabierze tej pewności, tego świetlanego smaku, który mamy jeszcze na języku, tego zimnego ognia na podniebieniu, tego westchnienia szerokiego jak niebo i świeżego jak haust czystej ultramaryny.

Czy przygotowaliśmy w pewnej mierze czytelnika do rzeczy,

³⁰ *proveniencja* – pochodzenie. [przypis edytorski]

³¹ *diminucyjny zapęd* – zapęd do umniejszania. [przypis edytorski]

³² *transcendent* – sfera nadprzyrodzona. [przypis edytorski]

które nastąpią, czy możemy zaryzykować podróż w epokę genialną? Nasza trema udzieliła się czytelnikowi. Czujemy jego zdenerwowanie. Mimo pozorów ożywienia i nam jest ciężko na sercu i pełni jesteśmy trwogi. W imię Boże tedy – wsiadamy i odjazd!

Genialna epoka

I

Zwykle fakty uszeregowane są w czasie, nanizane³³ na jego ciąg jak na nitkę. Tam mają one swoje antecedeny³⁴ i swoje konsekwencje, które tłoczą się ciasno, następują sobie na pięty bez przerwy i bez luki. Ma to swoje znaczenie i dla narracji, której duszą jest ciągłość i sukcesja.

Cóż jednak zrobić ze zdarzeniami, które nie mają swego własnego miejsca w czasie, ze zdarzeniami, które przyszły za późno, gdy już cały czas był rozdany, rozdzielony, rozebrany, i teraz zostały niejako na lodzie, nie zaszerogowane, zawieszona w powietrzu, bezdomne i błędne?

Czyżby czas był za ciasny dla wszystkich zdarzeń? Czy może się zdarzyć, aby już wszystkie miejsca w czasie były wyprzedane? Zatraskani, biegniemy wzdłuż tego całego pociągu zdarzeń, przygotowując się już do jazdy.

Na miłość boską, czyżby nie istniał tu pewnego rodzaju ażyotaz³⁵ biletów na czas?... Panie konduktorze!

³³ *nanizany* – nawleczony. [przypis edytorski]

³⁴ *antecedens* – poprzednik, fakt poprzedzający. [przypis edytorski]

³⁵ *ażiotaz* – spekulacja na giełdzie opierająca się na sztucznym podwyższeniu lub zniżeniu cen papierów wartościowych. [przypis edytorski]

Tylko spokojnie! Bez zbytecznej paniki, załatwimy to po cichu we własnym zakresie działania.

Czy czytelnik słyszał coś o równoległych pasmach czasu w czasie dwutorowym? Tak, istnieją takie boczne odnogi czasu, trochę nielegalne co prawda i problematyczne, ale gdy się wiezie taką kontrabandę³⁶ jak my, takie nadliczbowe zdarzenie nie do zaszeregowania – nie można być zanadto wybrednym. Spróbujmy tedy odgałęzić w którymś punkcie historii taką boczną odnogę, ślepy tor, ażeby zepchnąć nań te nielegalne dzieje. Tylko bez obawy. Stanie się to niepostrzeżenie, czytelnik nie dozna żadnego wstrząsu. Kto wie – może, gdy o tym mówimy, już nieczysta manipulacja jest poza nami i jedziemy już ślepym torem.

³⁶ *kontrabanda* – przemyt. [przypis edytorski]

II

Moja matka przybiegła przerażona i objęła mój krzyk ramionami, chcąc go nakryć jak pożar i stłumić w fałdach swej miłości. Zamknęła mi usta ustami i krzyczała wraz ze mną.

Ale odtrąciłem ją i wskazując na słup ognisty, na złotą belkę, która tkwiła ukośnie w powietrzu, jak zadra, i nie dała się zepchnąć – pełna blasku i krążących w niej pyłów – krzyczałem: – Wydrzyj ją, wyrwij!

Piec naindyczył się wielkim kolorowym bohomazem³⁷, namalowanym na jego czole, nabiegł krwią cały i zdawało się, że z konwulsji³⁸ tych żył, ścięgien i całej tej napęczniałej do pęknięcia anatomii wyzwolił się jaskrawym, kogucim wrzaskiem.

Stałem rozkrzyżowany w natchnieniu i wyciągniętymi, wydłużonymi palcami pokazywałem, pokazywałem w gniewie, w przejęciu srogim, wyprężony jak drogowskaz i drżący w ekstazie.

Moja ręka prowadziła mnie, obca i blada, wlokła mnie za sobą, zeszywniała, woskowa ręka, jak wielkie wotywnie³⁹ dłonie, jak dłoń anielska wzniesiona do przysięgi.

³⁷ *bohomas* – kiepski obraz. [przypis edytorski]

³⁸ *konwulsja* – mimowolny, gwałtowny ruch. [przypis edytorski]

³⁹ *wotywny* – подарowany jako wotum na pamiątkę cudu, zazwyczaj uzdrowienia. [przypis edytorski]

Było pod koniec zimy. Dni stały w kałużach i w żarach i miały podniebienie pełne ognia i pieprzu. Lśniące noże krajały miodną miazgę dnia na srebrne skiby, na pryzmy pełne w przekroju kolorów i korzennych pikanteryj. Ale cyferblat⁴⁰ południa gromadził na szczupłej przestrzeni cały blask tych dni i wskazywał wszystkie godziny pałające i pełne ognia.

O tej godzinie, nie mogąc pomieścić żaru, złuszczał się dzień arkuszami srebrnej blachy, chrzęszczącą cynfolią, i warstwa za warstwą odsłaniał swój rdzeń z litego blasku. I jakby nie dość było jeszcze tego, dymiły kominy, kłębiły się lśniącą parą, i każda chwila wybuchała wielkim wzlotem aniołów, burzą skrzydeł, które niebo wchłaniało niesyte, wciąż otwarte dla nowych wybuchów. Jego jasne blanki⁴¹ eksplodowały białymi pióropuszcami, dalekie fortalicje⁴² rozwijały się w ciche wachlarze spiętrzonych wybuchów – pod lśniącą kanonadą niewidzialnej artylerii.

Okno pokoju, pełne po brzegi nieba, wzbierało tymi wzlotami bez końca i przelewało się firankami, które całe w płomieniach, dymiąc w ogniu, spływały złotymi cieniami i drganiem słoï powietrznych. Na dywanie leżał ukośny, pałający czworobok, falując blaskiem, i nie mógł oderwać się od podłogi. Ten słup ognisty wzburzał mnie do głębi. Stałem urzeczony, na rozkraczonych nogach i oszcze kiwałem go zmienionym głosem,

⁴⁰ *cyferblat* – tarcza zegarowa. [przypis edytorski]

⁴¹ *blanki* – osłony na szczycie muru obronnego. [przypis edytorski]

⁴² *fortalicje* (z łac.) – umocnienia, fortyfikacje. [przypis edytorski]

obcymi, twardymi przekleństwami.

Na progu, w sieni, stali skonsternowani⁴³, przestraszeni, załamując ręce: krewni, sąsiedzi, wystrojone ciotki. Podchodzili na palcach i odchodzili, zaglądali przez drzwi, pełni ciekawości. A ja krzychałem.

– Widzicie – krzychałem do matki, do brata – zawsze mówiłem wam, że wszystko jest zatamowane, zamurowane nudą, nie wyzwolone. A teraz patrzcie, co za wylew, co za rozkwit wszystkiego, co za błogość!...

I płakałem ze szczęścia i z bezsilności.

– Obudźcie się – wołałem – pośpieszcie mi z pomocą! Czy mogę sam jeden podołać temu zalewowi, czy mogę ogarnąć ten potop? Jak mam, sam jeden, odpowiedzieć na milion olśniewających pytań, którymi Bóg mnie zalewa?

A gdy milczeli, wołałem w gniewie: – Śpieszcie się, nabierajcie pełne wiadra tej obfitości, gromadźcie zapasy!

Ale nikt mnie nie mógł wyręczyć, stali bezradni i oglądali się za siebie, cofali za plecy sąsiadów.

Wtedy zrozumiałem, co mam czynić, i pełen zapachu zacząłem z szaf wyciągać stare foliały⁴⁴, wypisane i rozsypujące się księgi handlowe ojca i rzucałem je na podłogę pod ten słup ognisty, który leżał na powietrzu i pałał. Nie można mi było nastarczyć papieru. Brat i matka przybiegali wciąż z nowymi naręczami starych gazet i dzienników i rzucali je stosami na ziemię.

⁴³ *skonsternowany* – zakłopotany. [przypis edytorski]

⁴⁴ *foliał* (daw.) – księga o dużym formacie. [przypis edytorski]

A ja siedziałem wśród tych papierów, oślepiiony blaskiem, z oczami pełnymi eksplozji, rakiet i kolorów, i rysowałem. Rysowałem w pośpiechu, w panice, na poprzek, na ukos, poprzez zadrukowane i zapisane strony. Moje kolorowe ołówki latały w natchnieniu przez kolumny nieczytelnych tekstów, biegły w genialnych gryzmołach, w karkołomnych zygzakach, zwięzając się raptownie w anagramy wizyj, w rebusy świetlistych objawień, i znów rozwiązując się w puste i ślepe błyskawice, szukające tropu natchnienia.

O, te rysunki świetliste, wyrastające jak pod obcą ręką, o, te przejrzyste kolory i cienie! Jakże często jeszcze dziś znajduję je w snach po tylu latach na dnie starych szuflad, lśniące i świeże jak poranek – wilgotne jeszcze pierwszą rosą dnia: figury, krajobrazy, twarze!

O, te błękity mrozące oddech zatchnieniem strachu, o, te zielenie zieleńsze od zdziwienia, o, te preludia⁴⁵ i świergoty kolorów dopiero przeczytych, dopiero próbujących się nazwać!

Dlaczego roztrwoiłem je wówczas w beztrosce nadmiaru z tą niepojętą lekkomyślnością? Pozwalałem sąsiadom przerzucać i płądrować te stosy rysunków. Zabierali całe ich pliki. Do jakich domów nie zawędrowały, na jakich śmietnikach nie wałęsały się wówczas! Adela wytapetowała nimi kuchnię, że stała się jasna i kolorowa, jak gdyby w nocy spadł śnieg za oknem.

Było to rysowanie pełne okrucieństwa, zasadzek i napaści.

⁴⁵ *preludium* (muz.) – instrumentalny wstęp do dłuższego utworu muzycznego. [przypis edytorski]

Gdy tak siedziałem napięty jak łuk, nieruchomy i czatujący, a w słońcu dookoła mnie płonęły jaskrawo papiery – wystarczyło, aby rysunek, przygwożdżony mym ołówkiem, uczynił najłżejszy ruch do ucieczki. Wówczas ręka moja, cała w drgawkach nowych odruchów i impulsów, rzucała się nań z wściekłością jak kot i już obca, zdziczała, drapieżna, w błyskawicznych ukąszeniach zagryzała dziwoląga, który chciał się jej wymknąć spod ołówka. I dopiero wtedy odluźniała się od papieru, gdy martwe już i nieruchome zwłoki rozkładały, jak w zielniku, swą kolorową i fantastyczną anatomię na zeszyte.

Było to mordercze polowanie, walka na śmierć i życie. Któż mógł odróżnić w niej atakującego od atakowanego, w tym kłębku parszającym wściekłością, w tym splątaniu pełnym pisku i przerażenia! Bywało, że ręka moja dwa i trzy razy rzucała się do skoku, ażeby gdzieś na czwartym lub piątym arkuszu dosięgnąć ofiary. Nieraz krzyczała z bólu i przerażenia w kleszczach i szczypcach tych dziwotworów, wijących się pod mym skalpelem.

Z godziny na godzinę coraz tłumniej napływały wizje, tłoczyły się, tworzyły zatory, aż pewnego dnia wszystkie drogi i ścieżki zaroily się i spłynęły pochodami, i kraj cały rozgałęził się wędrownkami, rozbiegł się ciągnącymi defiladami – nieskończonymi pielgrzymkami bestyj i zwierząt.

Jak za dni Noego płynęły te kolorowe pochody, te rzeki sierści i grzyw, te falujące grzbiety i ogony, te łby, potakujące bez końca w takt stąpania.

Mój pokój był granicą i rogatką. Tu zatrzymywały się, tłoczyły, becząc błagalnie. Kręciły się, dreptały w miejscu trwoźnie i dziko – garbate i rogate jestestwa, zaszyte we wszystkie kostiumy i zbroje zoologii, i przestraszone same sobą, spłoszone własną maskaradą, patrzyły trwoźnymi i zdziwionymi oczami przez otwory swych skór włochatych i myczały żałośnie, jakby zakneblowane pod swymi maskami.

Czy czekały, żebym je nazwał, rozwiązał ich zagadkę, której nie rozumiały? Czy pytały mnie o swe imię, ażeby w nie wejść i wypełnić je swoją istotą? Przychodziły dziwne maskary, twory-pytania, twory-propozycje, i musiałem krzyczeć i odpędzać je rękami.

Wycofywały się tyłem, pochylając głowę i patrząc spode łba, i gubiły się same w sobie, wracały, rozwiązując się w bezimienny chaos, w rupieciarnię form. Ile grzbietów poziomych i garbatych przeszło wówczas pod moją ręką, ile łbów przesunęło się pod nią z aksamitną pieśczęcią!

Zrozumiałem wówczas, dlaczego zwierzęta mają rogi. Było to – to niezrozumiałe, które nie mogło pomieścić się w ich życiu, kaprys dziki i natrętny, nierozumny i ślepy upór. Jakaś *idée fixe*⁴⁶, wyrosła poza granice ich istoty, wyżej ponad głowę, i wynurzona nagle w światło, zastygła w materię dotykálną i twardą. Tam przybierała kształt dziki, nieobliczalny i niewiarygodny, zakrecona w fantastyczną arabeskę⁴⁷ niewidoczną dla ich oczu

⁴⁶ *idée fixe* (fr.) – natrętnie powracająca myśl. [przypis edytorski]

⁴⁷ *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów

a przerażającą, w nieznaną cyfrę, pod której grozą żyły. Pojąłem, dlaczego te zwierzęta skłonne były do paniki nierozumnej i dzikiej, do spłoszonego szału: wciągnięte w swój obłąd, nie mogły się wyplątać z gmatwaniny tych rogów, pomiędzy których – pochylając głowę – patrzyły smutno i dziko, jakby szukając przejścia między ich gałęziami. Te rogate zwierzęta dalekie były od wyzwolenia i nosiły ze smutkiem i rezygnacją stygmat swego błędu na głowie.

Ale jeszcze dalsze od światła były koty. Ich doskonałość zatrzażała. Zamknięte w precyzji i akuratności swych ciał, nie znały błędu ani odchylenia. Na chwilę schodziły w głąb, na dno swej istoty, i wtedy nieruchomiały w swym miękkim futrze, poważniały groźnie i uroczyście, a oczy ich zaokrąglały się jak księżycy, chłonąc wzrok w swe leje ogniste. Ale po chwili już, wyrzucone na brzeg, na powierzchnię, ziewały swą nicością rozczarowane i bez złudzeń.

W ich życiu pełnym zamkniętej w sobie gracji nie było miejsca na żadną alternatywę. I znudzone w tym więzieniu doskonałości bez wyjścia, przejęte spleenem⁴⁸, sarkały⁴⁹ zmarszczoną wargą pełne bezprzedmiotowego okrucieństwa w krótkiej, pręgami rozszerzonej twarzy. U dołu przemykały chyłkiem kuny, tchórze i lisy, złodzieje wśród zwierząt,

roślinnych. [przypis edytorski]

⁴⁸ *spleen* (z ang.) – poczucie smutku i beznadziejności życia. [przypis edytorski]

⁴⁹ *sarkać* – wyrażać niezadowolenie, często w sposób nieuprzejmy. [przypis edytorski]

stworzenia o złym sumieniu. Dorwały się one podstępem, intrygą, trickiem swego miejsca w bycie, wbrew planowi stworzenia, i ścigane nienawiścią, zagrożone, wciąż na straży, wciąż w trwodze o to miejsce – kochały żarliwie swój kradziony, po norach kryjący się żywot, gotowe dać się poszarpać na sztuki w jego obronie.

Wreszcie przeszły wszystkie, i cisza zagościła w moim pokoju. Znow zacząłem rysować, zatopiony w moich szpargałach, które oddychały blaskiem. Okno było otwarte i na gzymsie okiennym drżały w wiosennym wietrze synogarlice i turkawki. Przechylając głowę, pokazywały okrągłe i szklane oko w profilu, jakby przerażone i pełne lotu. Dni pod koniec stały się miękkie, opalowe i świetliste, to znowu perłowe i pełne zamglonej słodyczy.

Nadeszły święta wielkanocne, i rodzice wyjechali na przeciąg tygodnia do mej zameżnej siostry. Pozostawiono mnie samego w mieszkaniu, na łup mych inspiracji. Adela przynosiła mi co dzień obiady i śniadania. Nie zauważałem jej obecności, gdy przystawała na progu odświętnie ubrana, pachnąc wiosną ze swoich tiulów i fularów⁵⁰.

Przez otwarte okno wpływały łagodne powiewy, napełniając pokój reflekssem dalekich krajobrazów. Przez chwilę utrzymywały się w powietrzu te nawiane kolory jasnych dali i wnet rozplywały się, rozwiewały w cień błękitny, w tkliwość i wzruszenie. Powódź obrazów uspokoiła się nieco, wylew wizyj

⁵⁰ *fular* – cienka jedwabna chustka. [przypis edytorski]

złagodniał i ucichł.

Siedziałem na ziemi. Dookoła mnie leżały na podłodze kredki i guziczki farb, boże kolory, lazury dyszące świeżością, zielenie zbłąkane aż na kraniec zdziwienia. I gdy brałem do ręki czerwoną kredkę – w jasny świat szły fanfary szczęśliwej czerwieni, i wszystkie balkony płynęły falami czerwonych chorągwi, i domy ustawiały się wzdłuż ulicy w tryumfalny szpaler. Defilady strażaków miejskich w malinowych uniformach paradowały na jasnych, szczęśliwych drogach i panowie kłaniali się melonikami koloru czereśni. Czereśniowa słodycz, czereśniowy świegot szczygłów napełniał powietrze pełne lawendy i łagodnych blasków.

A gdy sięgałem po błękitną barwę – szedł ulicami przez wszystkie okna odblask kobaltowej wiosny, otwierały się, dźwięcząc, szyby, jedna za drugą, pełne błękitu i ognia niebieskiego, firanki wstawały jak na alarm i przeciąg radosny i lekki szedł tym szpalerem wśród falujących muślinów i oleandrów⁵¹ na pustych balkonach, jak gdyby na drugim końcu tej długiej i jasnej alei ktoś zjawił się bardzo daleki i zbliżał się – promienny, poprzedzany przez wieść, przez przecucie, zwiastowany przez loty jaskółek, przez wici⁵² świetliste, rozrzucone od mili do mili.

⁵¹ *oleander* – wiecznie zielony krzew o skórzastych liściach. [przypis edytorski]

⁵² *wici* (daw.) – wezwanie na wojnę w formie gałązek (witek). [przypis edytorski]

III

W same święta wielkanocne, z końcem marca lub z początkiem kwietnia, wychodził Szloma, syn Tobiasza, z więzienia, do którego zamykano go na zimę po awanturach i szaleństwach lata i jesieni. Pewnego popołudnia tej wiosny widziałem go przez okno, jak wychodził od fryzjera, który był w jednej osobie balwierzem, cyrulikiem⁵³ i chirurgiem miasta, otwierał z dystynkcją⁵⁴, nabytą pod rygiem więziennym, szklane, błyszczące drzwi fryzjerskie i schodził z trzech drewnianych schodków, wyświeżony i odmłodzony, z wystrzyżoną dokładnie głową, w przykrótkim surduciku i podciągniętych wysoko kraciastych spodniach, szczupły i młodzieńczy mimo swoich czterdziestu lat.

Plac Św. Trójcy był o tym czasie pusty i czysty. Po roztopach wiosennych i błotach, splukanych później ulewnymi deszczami, pozostał teraz bruk umyty, wysuszony w wielu dniach cichej, dyskretnej pogody, w tych dniach wielkich już i może zbyt obszernych na tę wczesną porę, wydłużonych trochę nad miarę, zwłaszcza wieczorami, kiedy zmierzch przedłużał się bez końca, pusty jeszcze w swej głębi, daremny i jałowy w swym ogromnym oczekiwaniu.

Gdy Szloma zamknął za sobą szklane drzwi fryzjerskie,

⁵³ *cyrulik* – fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

⁵⁴ *dystynkcja* – tu: dystyngowane zachowanie. [przypis edytorski]

weszło w nie natychmiast niebo, jak we wszystkie małe okna tego piętrowego domu, otwartego ku czystej głębi cienistego nieboskłonu.

Zszedłszy ze schodków, znalazł się całkiem samotny na brzegu wielkiej, pustej muszli placu, przez którą przepływał błękit nieba bez słońca.

Ten wielki, czysty plac leżał owego popołudnia jak bania szklana, jak nowy nie zaczęty rok. Szłoma stał na jego brzegu całkiem szary i zgaszony, zawalony błękitami, i nie śmiał łamać decyzją tej doskonałej kuli dnia nie zużytego.

Tylko raz w roku, w dniu wyjścia z więzienia, czuł się Szłoma tak czystym, nieobciążonym i nowym. Dzień przyjmował go wówczas w siebie umytego z grzechów, odnowionego, pojednanego ze światem, otwierał przed nim z westchnieniem czyste kręgi swych horyzontów, uwieńczone cichą pięknnością.

Nie śpieszył się. Stał na krawędzi dnia i nie śmiał przekroczyć, przekreślić swym drobnym, młodym, lekko utykającym chodem tej łagodnie sklepionej konchy⁵⁵ popołudnia.

Przejrzysty cień leżał nad miastem. Milczenie tej trzeciej godziny po południu wydobywało z domów czystą biel kredy i rozkładało ją bezgłośnie, jak talię kart, dookoła placu. Obdzieliwszy go jedną turą, napoczyznało już nową, czerpiąc rezerwy bieli z wielkiej, barokowej fasady Św. Trójcy, która, jak zlatująca z nieba ogromna koszula Boga, pofałdowana

⁵⁵ *koncha* – muszla. [przypis edytorski]

w pilastry⁵⁶, ryzality⁵⁷ i framugi⁵⁸, rozsadzona patosem wolut⁵⁹ i archiwolt⁶⁰, porządkowała na sobie w pośpiechu tę wielką wzburzoną szatę.

Szloma podniósł twarz, wietrząc w powietrzu. Łagodny powiew niósł zapach oleandrów, zapach świątecznych mieszkań i cynamonu. Wtedy kichnął potężnie swym sławnym, potężnym kichnięciem, od którego gołębie na odwachu⁶¹ policji zerwały się przestraszone i wleciały. Szloma uśmiechnął się do siebie: Bóg dawał znać przez wstrząs jego nozdrzy, że wiosna nastawała. Był to znak pewniejszy niż przylot bocianów, i odtąd dni miały być przetykane tymi detonacjami, które zagubione w szumie miasta, to bliżej, to dalej glosowały⁶² jego zdarzenia swym dowcipnym komentarzem.

– Szloma! – zawołałem, stojąc w oknie naszego niskiego piętra.

Szloma dostrzegł mnie, uśmiechnął się swym miłym uśmiechem i zasalutował.

– Jesteśmy teraz sami w całym rynku, ja i ty – rzekłem cicho,

⁵⁶ *pilaster* – dekoracyjny płaski filar połączony ze ścianą. [przypis edytorski]

⁵⁷ *ryzalit* – wysunięta naprzód część fasady. [przypis edytorski]

⁵⁸ *framuga* – rama, do której przymocowane jest okno lub skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

⁵⁹ *woluta* – ornament architektoniczny w formie zwoju lub spirali. [przypis edytorski]

⁶⁰ *archiwolta* – dekoracyjny łuk oparty na małym gzymsie. [przypis edytorski]

⁶¹ *odwach* – postereunek. [przypis edytorski]

⁶² *glosować* – umieszczać notatki lub dopiski na marginesie. [przypis edytorski]

gdyż wydęta bania nieba rezonowała jak beczka.

– Ja i ty – powtórzył ze smutnym uśmiechem – jak pusty jest dziś świat.

– Moglibyśmy podzielić go i nazwać na nowo – taki leży otwarty, bezbronny i niczyj. W taki dzień podchodzi Mesjasz aż na brzeg horyzontu i patrzy stamtąd na ziemię. I gdy ją tak widzi białą, cichą, z jej błękitami i zamyśleniem, może się zdarzyć, że mu się zgubi w oczach granica, niebieskawe pasma obłoków podłożą się przejściem i sam nie wiedząc, co czyni, zejdzie na ziemię. I ziemia nawet nie zauważy w swej zadumie tego, który zszedł na jej drogi, a ludzie obudzą się z popołudniowej drzemki i nie będą nic pamiętali. Cała historia będzie jak wymazana i będzie jak za prawieków, nim zaczęły się dzieje.

– Czy Adela jest w domu? – zapytał z uśmiechem.

– Nie ma nikogo, wejdz do mnie na chwilę, pokażę ci moje rysunki.

– Jeżeli nie ma nikogo, nie odmówię sobie tej przyjemności. Otwórz mi.

I rozglądając się w bramie na obie strony ruchem złodzieja, wszedł do środka.

IV

– To są kapitalne rysunki – mówił, oddalając je od siebie gestem znawcy. Jego twarz rozjaśniła się refleksami kolorów i światła. Czasami związał dłoń dookoła oka i patrzył przez tę zaimprovizowaną lunetę, ściągając rysy w grymas pełen powagi i znanstwa.

– Można by powiedzieć – rzekł – że świat przeszedł przez twoje ręce, ażeby się odnowić, ażeby zlenić⁶³ się w nich i złuszczyć jak cudowna jaszczurka. O, czy myślisz, że byłbym kradł i popełniał tysiąc szaleństw, gdyby świat nie był tak bardzo się zużył i podupadł, gdyby rzeczy nie były w nim straciły swej pozłoty – dalekiego odbłasku rąk bożych? Cóż można począć w takim świecie? Jak nie zwątpić, jak nie upaść na duchu, gdy wszystko jest zamknięte na głucho, zamurowane nad swoim sensem, i wszędzie tylko stukasz w cegłę, jak w ścianę więzienia? Ach, Józefie, powinieneś być wcześniej się urodzić.

Staliśmy w tym na pół ciemnym, głębokim pokoju, wydłużającym się perspektywicznie ku otwartemu oknu na rynek. Stamtąd dochodziły aż do nas fale powietrza w łagodnych pulsach, rozpościerając się ciszą. Każdy przyptyw przynosił nowy jej ładunek zaprawiony kolorami dali, jak gdyby poprzedni już był zużyty i wyczerpany. Ciemny ten pokój żył tylko

⁶³ *zlenić* – zrzucić skórę. [przypis edytorski]

refleksami⁶⁴ dalekich domów za oknem, odbijał ich kolory w swej głębi, jak *camera obscura*⁶⁵. Przez okno widać było, niby w rurze lunety, gołębie na odwachu policji, napuszone, spacerujące wzdłuż gzymsu attyki. Czasami zrywały się wszystkie razem i zataczały półkole nad rynkiem. Wtedy pokój rozjaśniał się na chwilę od ich otwartych lotek, rozszerzał się odbłaskiem ich dalekiego trzepotu, a potem gasł, gdy opadając zamykały skrzydła.

– Tobie, Szloma – rzekłem – mogę zdradzić tajemnicę tych rysunków. Już od początku nachodziły mnie wątpliwości, czy jestem naprawdę ich autorem. Czasami wydają mi się mimowolnym plagiatem, czymś, co mi zostało podpowiedziane, podsunięte... Jak gdyby coś obcego posłużyło się mym natchnieniem dla nie znanych mi celów. Gdyż muszę ci wyznać – dodałem po cichu, patrząc mu w oczy – znalazłem Autentyk...

– Autentyk? – zapytał z twarzą rozjaśnioną nagłym blaskiem.

– Tak jest, sam zresztą zobacz – rzekłem, przyklękając nad szufladą komody.

Wyjąłem naprzód jedwabną suknię Adeli, pudełko ze wstążkami, jej nowe pantofelki na wysokich obcasach. Zapach pudru czy perfumy rozszedł się w powietrzu. Podniosłem jeszcze kilka książek: na dnie leżał w samej rzeczy długo nie widziany, drogi szpargał i świecił.

⁶⁴ *refleks* – błysk światła a. odbicie. [przypis edytorski]

⁶⁵ *camera obscura* – prototyp aparatu fotograficznego: światłoszczelna skrzynka z otworkiem, rzutująca obraz na jedną ze ścian. [przypis edytorski]

– Szloma – rzekłem wzruszony – popatrz, oto leży...

Ale on stał zatopiony w medytacji z pantofelkiem Adeli w rękę i przyglądał mu się z głęboką powagą.

– Tego Bóg nie powiedział – rzekł – a jednak, jak mnie to głęboko przekonywa, przypiera do ściany, odbiera ostatni argument. Te linie są nieodparte, wstrząsająco trafne, ostateczne i uderzają, jak błyskawica, w samo sedno rzeczy. Czym zasłonisz się, co im przeciwstawisz, gdy sam już jesteś przekupiony, przegłosowany i zdradzony przez najwierniejszych sprzymierzeńców? Sześć dni stworzenia było bożych i jasnych. Ale siódmego dnia uczuł On obcy wątek pod rękami i, przerażony, odjął ręce od świata, choć jego zapał twórczy obliczony był na wiele jeszcze dni i nocy. O, Józefie, strzeż się siódmego dnia...

I podnosząc ze zgrozą smukły pantofelek Adeli, mówił jakby urzeczony połyskliwą, ironiczną wymową tej pustej łuski z laku: – Czy rozumiesz potworny cynizm tego symbolu na nodze kobiety, prowokację jej rozwiązłego stąpania na tych wymyślnych obcasach? Jakże mógłbym cię pozostawić pod władzą tego symbolu. Broń Boże, bym to miał uczynić...

Mówiąc to, wsuwał wprawnymi ruchami pantofelki, suknię, korale Adeli w zanadrze.

– Co robisz, Szloma? – rzekłem w osłupieniu.

Ale on szybko oddalał się ku drzwiom, utykając lekko w swych przykrótkich, kraciastych spodniach. W drzwiach odwrócił raz jeszcze szarą, całkiem niewyraźną twarz i podniósł

rękę do ust ruchem uspokajającym. Już był za drzwiami.

Wiosna

I

Oto jest historia pewnej wiosny, wiosny, która była prawdziwsza, bardziej olśniewająca i jaskrawsza od innych wiosen, wiosny, która po prostu wzięła serio swój tekst dosłowny, ten manifest natchniony, pisany najjaśniejszą, świąteczną czerwienią, czerwienią laku⁶⁶ pocztowego i kalendarza, czerwienią ołówka kolorowego i czerwienią entuzjazmu, amarantem⁶⁷ szczęśliwych telegramów stamtąd...

Każda wiosna tak się zaczyna, od tych horoskopów ogromnych i oszałamiających, nie na miarę jednej pory roku, w każdej – żeby to raz powiedzieć – jest to wszystko: nieskończone pochody i manifestacje, rewolucje i barykady, przez każdą przechodzi w pewnej chwili ten gorący wicher zapamiętania, ta bezgraniczność smutku i upojenia szukająca nadaremnie adekwatu⁶⁸ w rzeczywistości.

Ale potem te przesady i te kulminacje, te spiętrzenia i te ekstazy wstępują w kwitnienie, wchodzą całe w bujanie

⁶⁶ *lak* – brązowoczerwona substancja, używana dawniej do pieczętowania listów. [przypis edytorski]

⁶⁷ *amarant* – czerwień o lekko fioletowym odcieniu. [przypis edytorski]

⁶⁸ *adekwat* – odpowiednik. [przypis edytorski]

chłodnego listowia, we wzburzone nocą wiosenne ogrody i szum je pochłania. Tak wiosny sprzeniewierzają się sobie – jedna za drugą, pogrążone w zdyszany szelest kwitnących parków, w ich wezbrania i przyptywy – zapominają o swych przysięgach, gubią liść po liściu ze swego testamentu.

Ta jedna wiosna miała odwagę wytrwać, pozostać wierną, dotrzymać wszystkiego. Po tylu nieudanych próbach, wzlotach, inkantatach⁶⁹ chciała się wreszcie naprawdę ukonstytuować, wybuchnąć na świat wiosną generalną i już ostateczną.

Ten wichur zdarzeń, ten huragan wypadków: szczęśliwy zamach stanu, te dni patetyczne, górne i triumfalne! Chciałbym, by krok tej historii pochwyił ich takt porywający i natchniony, przejął bohaterski ton tej epepei, zrównał się w marszu z rytmem tej wiosennej Marsylianki⁷⁰.

Tak nieobjęty jest horoskop wiosny! Kto może jej wziąć za złe, że uczy się ona czytać go naraz na sto sposobów, kombinować na oślep, sylabizować we wszystkich kierunkach, szczęśliwa, gdy jej się uda coś odcyfrować wśród mylącego zgadywania ptaków. Czyta ona ten tekst w przód i na wspak, gubiąc sens i podejmując go na nowo, we wszystkich wersjach, w tysiącnych alternatywach, trelach i świergotach. Bo tekst wiosny znaczonej jest cały w domyślnościach, w niedomówieniach,

⁶⁹ *inkantat* – właśc. inkantacja: zaśpiew, zaklęcie. [przypis edytorski]

⁷⁰ *Marsylianka* – pieśń z czasów Rewolucji Francuskiej, która stała się hymnem Francji. [przypis edytorski]

w elipsach⁷¹, wykropkowany bez liter w pustym błękanie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia. Dlatego będzie ta historia, wzorem tego tekstu, ciągnęła się na wielu rozgałęzionych torach i cała przetykana będzie wiosennymi myślnikami, westchnieniami i wielokropkami.

⁷¹ *elipsa* – figura retoryczna polegająca na usunięciu ze zdania jakiegoś słowa.
[przypis edytorski]

II

W te noce przedwiosenne, dzikie i rozprzestrzenione, nakryte ogromnymi niebami, jeszcze surowymi i bez woni, prowadzącymi wśród wertepów i rozłogów powietrznych w gwiazdne bezdroża – ojciec zabierał mnie ze sobą na kolację do małej restauracji ogrodowej, zamkniętej między tylnymi murami ostatnich domów rynku.

Szliśmy w mokrym świetle latarni, brzęczących w podmuchach wiatru, na przełaj przez wielki sklepiony plac rynku, samotni, przywaleni ogromem labiryntów powietrznych, zagubieni i zdezorientowani w pustych przestrzeniach atmosfery. Ojciec podnosił do nieba twarz oblaną nikłą poświatą i patrzył z gorzką troską w ten żwir gwiazdny rozsiany po mieliznach szeroko rozgałęzionych i rozlanych wirów. Nieregularne ich i nieprzeliczone zagęszczenia nie porządkowały się jeszcze w żadne konstelacje, żadne figury nie opanowywały tych rozległych i jałowych rozlewisk. Smutek pustkowi gwiazdnych ciążył nad miastem, latarnie przetykały dołem noc wiązkami promieni, wiążąc je obojętnie od węzła do węzła. Pod tymi latarniami przechodnie zatrzymywali się po dwóch, po trzech w kręgu światła, które stwarzało dookoła nich przelotne złudzenie pokoju w świetle lampy stołowej – w nocy obojętnej i nieprzytulnej, rozpadającej się górą w nieregularne przestrzenie, w dzikie krajobrazy powietrzne, wystrzępione

przez uderzenia wiatru, żalosalne i bezdomne. Rozmowy nie kleiły się, z oczyma w głębokim cieniu kapeluszy uśmiechali się, słuchając w zamyśleniu dalekiego szumu gwiazd, którym rosły jak na drożdżach przestrzenie tej nocy.

W ogrodzie restauracyjnym ścieżki były wyżwirowane. Dwie latarnie na słupach syczały w zamyśleniu. Panowie w czarnych tużurkach⁷² siedzieli, po dwóch – po trzech, zgarbieni nad biało nakrytymi stolikami, zapatrzeni bezmyślnie w lśniące talerze. Siedząc tak, obliczali w duchu ciągi i posunięcia na wielkiej czarnej szachownicy nieba, widzieli w duchu wśród gwiazd przeskakujące konie i stracone figury i konstelacje wstępujące natychmiast na ich miejsce.

Muzykanci na estradzie maczali wąsy w kufiach gorzkiego piwa, milczeli tępo, zapatrzeni w głąb siebie. Ich instrumenty, skrzypce i wiolonczele o szlachetnych konturach, leżały porzucone na boku pod bezgłośnie szumiącą ulewą gwiazd. Czasami brali je do rąk i przymierzali na próbę, stroili jękliwie na ton swych piersi, którego próbowali chrząkając. Potem znów je odkładali, jak gdyby jeszcze niedojrzałe i nie na miarę tej nocy, która płynęła obojętnie dalej. Wtedy w ciszy i odpływie myśli, podczas gdy widelce i noże cicho pobrzękiwały nad biało nakrytymi stołami, wstawały nagle skrzypce same, przedwcześnie dorosłe i pełnoletnie, dopiero co jeszcze tak jęklliwe i niepewne, stały teraz wymowne, smukłe i wcięte w talii i zdawały sprawę ze swego pełnomocnictwa,

⁷² *tużurek* – długi, ciemny surdut z przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

podejmowały odroczoną na chwilę sprawę ludzką i toczyły dalej ten przegrany proces przed obojętnym trybunałem gwiazd, wśród których wodnym drukiem rysowały się esownice i profile instrumentów, fragmentaryczne klucze, nie dokończone liry i łabędzie, imitatywny⁷³, bezmyślny komentarz gwiazdny na marginesie muzyki.

Pan fotograf, który już od pewnego czasu rzucał ku nam znad sąsiedniego stołu porozumiewawcze spojrzenia, przysiadł się wreszcie do nas, przenosząc swój kufel piwa ze stołu na stół. Uśmiechał się wieloznacznie, walczył z własnymi myślami, przytykał palcami, gubiąc wciąż na nowo nieuchwytną pointę sytuacji. Czuliśmy od początku jej paradoksalność. To zaimprovizowane obozowisko restauracyjne pod auspicjami⁷⁴ dalekich gwiazd bankrutowało bez ratunku, załamywało się nędznie, nie mogąc sprostać rosnącym bez miary pretensjom nocy. Cóż mogliśmy przeciwstawić tym bezdennym pustkowiom? Noc przekreślała tę ludzką imprezę, której nadaremnie próbowały bronić skrzypce, zajmowała tę lukę, zaciągała swe gwiazdozbiory na odzyskane pozycje.

Widzieliśmy rozprzegające się obozowisko stołów, pobojuwisko porzucanych serwet i obrusów, które noc przekraczała w triumfie, świetlista i nieprzeliczona. Podnieśliśmy się i my, podczas gdy wyprzedzając ciała, myśl nasza już biegła od dawna za gwarным turkotem jej wozów,

⁷³ *imitatywny* (daw.) – naśladowczy. [przypis edytorski]

⁷⁴ *pod auspicjami* – pod opieką, pod wpływem. [przypis edytorski]

za dalekim, szeroko rozsypanym turkotem gwiazdnym tych wielkich i jasnych szlaków.

Tak szliśmy pod raketami jej gwiazd, antycypując⁷⁵ w duchu przymkniętymi oczyma jej coraz wyższe i wyższe olśnienia. Ach, ten cynizm triumfującej nocy! Objąwszy w posiadanie całe niebo, grała ona teraz w domino na jego przestrzeniach, opieszale i bez rachuby, zagarniając obojętnie milionowe wygrane. Potem, znudzona, kreśliła na pobojuwisku odwróconych tabliczek przezroczyście gryzmoły, uśmiechnięte twarze, wciąż jeden i ten sam uśmiech w tysiącnych powtórzeniach, który za chwilę przechodził – już wieczny – do gwiazd, rozsypywał się w gwiezdną obojętność.

Wstąpiliśmy po drodze do cukierni na ciastka. Ledwie weszliśmy przez dźwięczne, szklane drzwi do tego białego, lukrowanego wnętrza, pełnego lśniących cukrów⁷⁶ – noc stanęła od razu wszystkimi gwiazdami, baczna nagle i uważna, ciekawa, czy jej się nie wymkniemy. Czekwała na nas cały czas cierpliwie, stróżując pod drzwiami, świecąc przez szyby z wysoka nieruchomymi gwiazdami, podczas gdy z głębokim namysłem wybieraliśmy ciastka. Wtedy ujrzałem po raz pierwszy Biankę. Stała profilem przy ladzie, z guwernantką⁷⁷, w białej sukience, smukła i kaligraficzna, jakby wyszła z Zodiaku. Nie odwracała się, stojąc we wzorowym

⁷⁵ *antycypować* – przewidywać, przeczuwać. [przypis edytorski]

⁷⁶ *cukry* – dziś: cukierki, słodycze. [przypis edytorski]

⁷⁷ *guwernantka* – prywatna, domowa nauczycielka. [przypis edytorski]

kontrapoście⁷⁸ młodych dziewcząt, i jadła ciastko z kremem. Nie widziałem jej wyraźnie, cały jeszcze poprzekreślany zygzakami⁷⁹ linii gwiazdnych. Tak po raz pierwszy skrzyżowały się nasze horoskopy bardzo jeszcze zagmatwane. Spotkały się i rozwiązały obojętnie. Nie zrozumieliśmy jeszcze naszego losu w tym wczesnym gwiazdowym aspekcie i wyszliśmy obojętnie, dźwicząc szklanymi drzwiami.

Wracaliśmy potem okrężną drogą przez odległe przedmieście. Domy stawały się coraz niższe i rzadsze, wreszcie rozstały się przed nami ostatnie i wkroczyliśmy w inny klimat. Weszliśmy nagle w łagodną wiosnę, w ciepłą noc srebrzącą się po błocie młodym, dopiero co wzeszłym, fiołkowym księżycem. Ta noc przedwiosenna awansowała w pośpiesznym tempie, uprzedzała gorączkowo swe późne fazy. Powietrze, zaprawione dopiero co jeszcze zwykłą cierpkością tej pory, stało się nagle słodkie i mdłe, pełne zapachu deszczówki, wilgotnego ładu i pierwszych śnieżyczek zakwitających lunatycznie w białym świetle magicznym. I aż dziw, że pod tym szczodrym księżycem nie zaroiła się noc galaretą żabią na srebrnych błotach, nie wylęgała się ikra, nie rozgadała się tysiącem plotkujących pyszczków na tych zwirowiskach nadrzecznych, przeciekających wszystkimi porami lśniąca siatką słodkiej wody. I trzeba było dopowiedzieć, dorozumieć się tego rehotu w tej nocy gwarnej

⁷⁸ *kontrapost* – pozycja, w której ciężar ciała opiera się głównie na jednej nodze. [przypis edytorski]

⁷⁹ *zygzak* – dziś: zygzak. [przypis edytorski]

i źródlanej, i pełnej dreszczów podskórnych, ażeby – na chwilę wstrzymana – ruszyła dalej i księżyc kulminował, coraz bielszy i bielszy, jak gdyby przelewał swą białość z czary do czary, coraz wyższy i coraz promienniejszy, coraz bardziej magiczny i transcendentalny⁸⁰.

Tak szliśmy pod przybierającą grawitacją księżyca. Ojciec i pan fotograf wzięli mnie między siebie, gdyż padałem z nóg z wielkiej senności. Nasze kroki chrzęściły w mokrym piasku. Dawno już spałem idąc i miałem już pod powiekami całą fosforescencję⁸¹ nieba, pełną świetlistych znaków, sygnałów i gwiazdnych fenomenów, gdy wreszcie stanęliśmy w szczerym polu. Ojciec ułożył mnie na płaszczu rozpostartym na ziemi. Z zamkniętymi oczami widziałem jak słońce, księżyc i jedenaście gwiazd ustawiło się w paradzie na niebie, defilując przede mną. – Brawo, Józefie – zawołał ojciec z uznaniem i klasnął w dłonie. Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie⁸², zastosowany do innych zgoła okoliczności. Nikt nie robił mi z tego powodu zarzutu. Mój ojciec Jakub kiwał głową i cmokał językiem, a pan fotograf rozstawił swój trójnóg na piasku, rozsunął miech aparatu jak harmonię i pogrążył się cały w fałdach czarnego sukna: fotografował to osobliwe zjawisko,

⁸⁰ *transcendentalny* – wykraczający poza rzeczywistość poznawalną zmysłami. [przypis edytorski]

⁸¹ *fosforescencja* – świecenie w ciemności. [przypis edytorski]

⁸² *Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie* – nawiązanie do Biblii. [przypis edytorski]

ten lśniący horoskop na niebie, podczas gdy ja z głową płynącą w blasku leżałem olśniony na płaszczu i podtrzymywałem bezwładnie ten sen do ekspozycji⁸³.

⁸³ *ekspozycja* – tu: naświetlenie. [przypis edytorski]

III

Dnie stały się długie, jasne i rozległe, za rozległe niemal na swą treść, jeszcze ubogą i nijaką. Były to dni na wyrost, dni pełne czekania, przybladłe z nudy i niecierpliwości. Jasne tchnienie, lśniący wiatr szedł przez pustkę tych dni, jeszcze nie zmałowany wyziewami ogrodów nagich i pełnych słońca, wydmuchiwał do czysta ulice i stały długie i jasne, odświeżone zamiecione, jak gdyby czekały na czyjeś dalekie jeszcze i niewiadome przyjscie. Słońce zmierzało powoli do punktów ekwinokcjalnych⁸⁴, zwalniało w biegu, dochodziło do pozycji wzorowej, w której stanąć miało nieruchomo w idealnej równowadze, wypuszczając strumienie ognia, porcja za porcją, na pustą i chłonącą ziemię.

Jasny i nieskończony przeciąg wiał przez całą szerokość horyzontu, ustawiał szpalery i aleje pod czyste linie perspektywy, wygładzał się w wielkim i pustym wianiu i stawał wreszcie, zatchniony, ogromny i lustrzany, jak gdyby chciał w swym wszechobejmującym zwierciadle zamknąć idealny obraz miasta, fatamorganę⁸⁵ przedłużoną w głąb jego świetlanej wklęsłości. Wtedy świat nieruchomiał na chwilę, stawał bez tchu, olśniony, chcąc wejść cały w ten złudny obraz, w tę prowizoryczną

⁸⁴ *punktów ekwinokjalny* (z łac.) – punkt zrównania dnia z nocą. [przypis edytorski]

⁸⁵ *fatamorgana* – złudzenie optyczne, polegające na przybliżaniu odległych widoków za sprawą warstw powietrza o różnej temperaturze. [przypis edytorski]

wieczność, którą mu otwierano. Ale szczęśliwa oferta mijała, wiatr łamał swe zwierciadło i czas brał nas znów w swe posiadanie.

Nadeszły ferie wielkanocne, długie i nieprzejrane. Wolni od szkoły wałęsaliśmy się po mieście bez celu i potrzeby, nie umieliśmy korzystać ze swobody. Była to wolność całkiem pusta, nieokreślona i bez zastosowania. Sami jeszcze bez definicji, oczekiwaliśmy jej od czasu, który nie umiał jej znaleźć, gubiąc się wśród tysiąca wybiegów.

Przed kawiarnią ustawiono już stoliki na bruku. Panie siedziały przy nich w jasnych kolorowych sukienkach i połykały wiatr małymi łykami jak lody. Spódniczki furkotały, wiatr kąsał je od dołu, jak mały rozwścieczony piesek, panie dostawały wypieków, paliły je twarze od suchego wiatru i pierzchły wargi. Jeszcze trwał antrakt⁸⁶ i wielka nuda antraktu, świat zbliżał się powoli i z tremą do jakiejś granicy, dobijał za wcześnie do jakiejś mety i czekał.

Mieliśmy w tych dniach wszyscy wilczy apetyt. Biegliśmy wysuszeni wiatrem do domu, ażeby spożywać w tępym zamyśleniu ogromne kawały chleba z masłem, kupowaliśmy na ulicy wielkie, trzeszczące od świeżości obwarzanki, siedzieliśmy wszyscy rzędem w rozległej sieni kamienicy w rynku – pustej i sklepionej – bez jednej myśli w głowie. Przez niskie arkady widać było biały i czysty plac rynkowy. Beczki po winie stały rzędem pod ścianą i pachniały. Siedzieliśmy na długiej ladzie, na

⁸⁶ *antrakt* – przerwa między aktami spektaklu teatralnego. [przypis edytorski]

której w dniu targowe sprzedawano kolorowe chustki chłopskie, i bębniłmy nogami w deski z bezradności i nudy.

Nagle Rudolf mając usta zapchane obwarzankami wyjął z zanadza markownik⁸⁷ i rozwinął go przede mną.

⁸⁷ *markownik* (daw.) – klaser ze znaczkami. [przypis edytorski]

IV

Zrozumiałem wtedy, dlaczego ta wiosna była dotychczas tak pusta, wklęsła i zatchnięta. Nie wiedząc o tym, uciszała się w sobie, milkła, cofała się w głąb – robiła miejsce, otwierała się cała w czystą przestrzeń, pusty błękit bez mniemania i bez definicji – zdziwiona naga forma dla przyjęcia niewiadomej treści. Stąd ta błękitna, jakby ze snu zbudzona neutralność, ta wielka i jakby obojętna gotowość na wszystko. Ta wiosna trzymała się cała w pogotowiu – bezludna i obszerna, stawiała się cała do dyspozycji bez tchu i bez pamięci – czekała jednym słowem na objawienie. Któż mógł przewidzieć, że wyjdzie ono całkiem gotowe, w pełnym rynsztunku i olśniewające – z markownika Rudolfa.

Były to przedziwne skróty i formuły, recepty na cywilizacje, poręczne amulety, w których można było ująć między dwa palce esencję klimatów i prowincyj⁸⁸. Były to przekazy na imperia i republiki, na archipelagi i kontynenty. Cóż więcej mogli osiąść cesarze i uzurpatorowie, zdobywcy i dyktatorzy? Poznałem nagle słodycz władzy nad ziemiami, kolec tego niedosytu, który tylko panowaniem ukoić można. Z Aleksandrem Macedońskim zapragnąłem świata całego. I ani o piędź⁸⁹ ziemi mniej niż świata.

⁸⁸ *prowincyj* – dziś popr. forma D.lm: *prowincji*. [przypis edytorski]

⁸⁹ *piędź* – dawna miara długości. [przypis edytorski]

V

Ciemny, żarliwy, pełen zapiekłej miłości odbierałem defiladę stworzenia, maszerujące kraje, lśniące pochody, które widziałem w interwałach⁹⁰, poprzez purpurowe zaćmienia, ogłuszony od uderzeń krwi, bijącej do serca w takt tego uniwersalnego marsza wszystkich narodów. Rudolf przepuszczał przed moimi oczyma te bataliony i pułki, odprawiał paradę, pełen gorliwości i zaferowania. On, właściciel tego albumu, degradował się dobrowolnie jakby do roli adiutanta⁹¹, składał raport uroczyście, pełen przejęcia, jak przysięgę, zaślepiiony i zdeorientowany w swej roli niejasnej i pełnej dwuznaczności. W końcu w uniesieniu, w napływie jakiejś zapamiętałej wielkoduszności przypiął mi, jak order do piersi – różową Tasmanię, pałającą jak maj, i Hajdarabad mrowiący się cygańskim bełkotem splełanych alfabetów.

⁹⁰ *interwał* – odległość, odstęp. [przypis edytorski]

⁹¹ *adiutant* – oficer pozostający do dyspozycji dowódcy. [przypis edytorski]

VI

Wtedy to miało miejsce to objawienie, ta nagle ukazana wizja rozplamienionej piękności świata, wtedy to przyszła ta wieść szczęśliwa, posłanie tajemne, ta misja specjalna o nieobjętych możliwościach bytu. Otworzyły się na oścież horyzonty jaskrawe, srogie i zapierające oddech, świat drżał i migotał w swych przegubach, przechylał się niebezpiecznie, grożąc wyłamaniem się z wszystkich miar i reguł.

Czym jest dla ciebie, drogi czytelniku, marka pocztowa⁹². Czym jest ten profil Franciszka Józefa I⁹³ z łysiną uwieńczoną wieńcem wawrzynu? Czy nie jest on symbolem codzienności, zdeterminowaniem wszystkich możliwości, rękojmią⁹⁴ nieprzekraczalnych granic, w których już raz na zawsze świat jest zamknięty?

Świat był naówczas objęty ze wszech stron Franciszkiem Józefem I i nie było wyjścia poza niego. Na wszystkich horyzontach wyrastał, zza wszystkich węglów⁹⁵ wynurzał się ten profil wszechobecny i nieunikniony, zamykał świat na klucz, jak więzienie. I oto, gdyśmy już stracili nadzieję, pełni gorzkiej

⁹² marka pocztowa – dziś: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

⁹³ *Franciszek Józef I* (1830–1916) – cesarz cesarstwa austro-węgierskiego od 1848. [przypis edytorski]

⁹⁴ *rękojmia* – gwarancja. [przypis edytorski]

⁹⁵ *węgiel* – miejsce, gdzie mury stykają się pod kątem prostym. [przypis edytorski]

rezygnacji, pogodzili się wewnętrznie z jednoznacznością świata, z tą ciasną niezmiennością, której potężnym gwarantem był Franciszek Józef I – wtedy znienacka, jak rzecz nieważną otworzyłeś przede mną ten markownik, o Boże, pozwoliłeś rzucić mimochodem spojrzenie w tę księgę łuszczącą się blaskiem, w markownik strącający swe szaty, stronica za stronicą, coraz jaskrawszy i coraz przeraźliwszy... Któż weźmie mi za złe, że stałem wówczas olśniony, bezsilny ze wzruszenia, a z oczu przepęlnionych blaskiem lały mi się łzy. Co za olśniewający relatywizm⁹⁶, co za czyn kopernikański, co za płynność wszystkich kategorii i pojęć.

Więc tyle dałeś sposobów istnienia, o Boże, więc taki Twój świat jest nieprzeliczony! To jest więcej, niż w najśmielszych marzeniach roiłem. Więc prawdą jest ta wczesna antycypacja duszy, która wbrew oczywistości upierała się przy tym, że świat jest nieprzeliczony!

⁹⁶ *relatywizm* – względność. [przypis edytorski]

VII

Świat był naówczas ograniczony Franciszkiem Józefem I. Na każdej marce pocztowej, na każdej monecie i na każdym stemplu stwierdzał jego wizerunek niezmienność świata, niewzruszony dogmat jego jednoznaczności. Taki jest świat i nie masz innych światów prócz tego – głosiła pieczęć z cesarsko-królewskim starcem. Wszystko inne jest urojeniem, dziką pretensją i uzurpacją. Na wszystkim położył się Franciszek Józef I i zahamował świat w jego wzroście.

Skłaniamy się z głębi naszej istoty do prawomyślności, drogi czytelniku. Lojalność naszej układnej natury nie jest nieczuła na urok autorytetu. Franciszek Józef I był najwyższym autorytetem. Jeżeli ten autorytatywny starzec rzucał całą swą powagę na szalę tej prawdy – nie było rady, trzeba było zrezygnować z urojenia duszy, z żarliwych jej antycypacji – zaaranżować się, jak się da, w tym jedynie możliwym świecie, bez złudzeń i bez romantyki – i zapomnieć.

Ale gdy już więzienie zamyka się nieodwołalnie, gdy ostatni otwór jest zamurowany, gdy wszystko sprzysięgło się, ażeby cię przemilczeć, o Boże, gdy Franciszek Józef I zatarasował, zalepił ostatnią szparę, ażeby cię nie dojrzano, wtedy powstałeś w szumiącym płaszczu mórz i kontynentów i kłam mu zadałeś. Ty, Boże, wzięłeś wtedy na siebie odium herezji i wybuchnąłeś na świat tym ogromnym kolorowym i wspianiałym

bluźnierstwem. O, Herezjarcho wspaniały! Uderzyłeś wtedy we mnie tą płonąca księgą, eksplodowałeś z kieszeni Rudolfa markownikiem. Nie znałem jeszcze wówczas trójkątnego kształtu markownika. Zamieniałem go w mym zaślepieniu z papierowym pistoletem, z którego strzelaliśmy w szkole pod ławką ku utrapieniu profesorów. O, jakże wystrzeliłeś z niego, o Boże! To była Twoja żarliwa tyrada, to była płomienna i świetna filipika⁹⁷ Twoja przeciw Franciszkowi Józefowi I i jego państwu prozy, to była prawdziwa księga blasku.

Otworzyłem ją i zajaśniało przede mną kolorami światów, wiatrem nie objętych przestrzeni, panoramą wirujących horyzontów. Ty szedłeś przez nią, karta za kartą, ciągnąc za sobą ten tren utkany ze wszystkich stref i klimatów. Kanada, Honduras, Nikaragua, Abrakadabra, Hiporabundia... Zrozumiałem cię, o Boże. To były wszystko wybiegi Twojego bogactwa, to były pierwsze lepsze słowa, które Ci się nawinęły. Sięgnąłeś ręką do kieszeni i pokazałeś mi, jak garść guzików, rojące się w Tobie możliwości. Tobie nie chodziło o ścisłość, mówiłeś, co Ci ślina na język przyniosła. Mogłeś tak samo powiedzieć: Panfibras i Haleliwa, i powietrze załopotałoby wśród palm papugami do potęgi, a niebo, jak ogromna, stokrotna, szafirowa róża, rozdmuchana do dna – ukazałoby olśniewające sedno – oko Twoje pawiookie, urzęsione i przeraźliwe, i zamigotałoby jaskrawym rdzeniem Twej mądrości, załśniłoby nadkolorem, zawiałoby nadaromatem. Ty

⁹⁷ *filipika* – żarliwa mowa oskarżycielska. [przypis edytorski]

chciałeś mnie olśnić, o Boże, pochwalić się, skokietować mnie, bo i Ty masz chwile próżności, kiedy się sam sobą zachwycasz. O jakże kocham te chwile.

Jakże pogrążony zostałeś, Franciszku Józefie I i twoja ewangelia prozy! Nadaremnie szukały cię moje oczy. Na koniec znalazłem cię. Byłeś także w tym tłumie, lecz jakże mały, zdetronizowany i szary. Maszerowałeś z innymi w prochu gościńca tuż za Ameryką Południową, a przed Australią, i śpiewałeś z innymi: Hosanna!

VIII

Zostałem adeptem nowej ewangelii. Zaprzyjaźniłem się z Rudolfem. Podziwiałem go, przeczuwając niejasno, że jest on tylko narzędziem, że księga dla kogo innego jest przeznaczona. W istocie on zdawał się być raczej jej stróżem. Katalogował, przylepiał, odlepiał, chował na klucz do szafy. W gruncie rzeczy był smutny, jak ten, który wiedział, że jego będzie ubywać, podczas gdy ja przybierać będę. Był jak ten, który przyszedł prostować ścieżki Pańskie.

IX

Miałem wiele powodów do przyjęcia, że księga ta była dla mnie przeznaczona. Wiele znaków wskazywało na to, że do mnie zwracała się ona jako misja specjalna, posłanie i poruczenie osobiste. Poznałem to już po tym, że nikt nie czuł się jej właścicielem. Nawet Rudolf, który ją raczej obsługiwał. Była mu w gruncie rzeczy obcą. Był on jak niechętny i leniwy sługa w pańszczyźnie obowiązku. Niekiedy zazdrość zalewała mu serce goryczą. Buntował się wewnętrznie przeciwko swej roli klucznika skarbu, który do niego nie należał. Patrzył z zazdrością na refleks dalekich światów, wędrujących cichą gamą kolorów po mojej twarzy. Dopiero odbity od mego oblicza, dochodził go daleki odblask tych kart, w których dusza jego nie miała udziału.

X

Widziałem raz prestidigitatora⁹⁸. Stał on na estradzie szczupły, ze wszech stron widoczny, i demonstrował swój cylinder, ukazując wszystkim puste jego i białe dno. W ten sposób zabezpieczywszy swą sztukę ponad wszelką wątpliwość przed podejrzeniem oszukańczych manipulacji, zakreślił pałeczką w powietrzu splątany swój znak magiczny i natychmiast zaczął z przesadną precyzją i naocznością wywlekać laseczką z cylindra wstążki papierowe, kolorowe wstążki, łokciami, sążniami, na koniec kilometrami. Pokój napełniał się tą kolorową szeleszczącą masą, stawał się jasny od tego stokrotnego rozmnożenia, od spienionej i lekkiej bibułki, od świetlanego spiętrzenia, a on nie przestawał wywlekać tego nie kończącego się wątku⁹⁹, mimo przerażonych głosów, pełnych zachwyconego protestu, okrzyków ekstazy, spazmatycznych płaczów, aż w końcu stawało się jasne, jak na dłoni, że go to nic nie kosztuje, że czerpie tę obfitość nie z własnych zasobów, że mu po prostu otworzyły się źródła nadziemskie, nie podług ludzkich miar i rachub.

Ktoś wówczas, predestynowany¹⁰⁰ do recepcji¹⁰¹ głębszego

⁹⁸ *prestidigitator* – sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

⁹⁹ *wątku* – dziś popr. forma D.lp: wątku. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *predestynowany* – przeznaczony. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *recepcja* – odbiór. [przypis edytorski]

sensu tej demonstracji, odchodził do domu zamyślony i olśniony wewnątrz, przeniknięty do głębi prawdą, która weń weszła: Bóg jest nieprzeliczony...

XI

Tu jest miejsce do rozwinięcia krótkiej paraleli między Aleksandrem Wielkim a moją osobą. Aleksander Wielki czuły był na aromaty krajów. Nozdrza jego przeczuwały niesłychane możliwości. Był on jednym z tych, nad których twarzą przesunął Bóg swą dłoń we śnie, tak że wiedzą, czego nie wiedzą, stają się pełni domysłów i podejrzeń, a przez zamknięte powieki przesuwają się im refleksy¹⁰² dalekich światów. Wziął on jednak aluzje boskie zbyt dosłownie. Będąc człowiekiem czynu, czyli płytkiego ducha, wytłumaczył sobie misję swoją jako posłannictwo zdobywcy świata. Jego pierś napępniało to samo nienasycenie, co moją, te same westchnienia rozszerzały je, wstępując w jego duszę, horyzont za horyzontem, krajobraz za krajobrazem. Nie miał nikogo, kto by sprostował jego pomyłkę. Nawet Arystoteles go nie rozumiał. Tak umarł rozczarowany, mimo że zdobył świat cały, zwątpiwszy o Bogu, który się wciąż przed nim usuwał, i o jego cudach. Jego portret zdobił monety i marki wszystkich krajów. Za karę stał się on Franciszkiem Józefem swoich czasów.

¹⁰² *refleks* – odbicie. [przypis edytorski]

XII

Chciałbym dać czytelnikowi choć przybliżone wyobrażenie, czym była wówczas ta księga, w której kartach preliminarowały¹⁰³ się i układały ostateczne sprawy tej wiosny. Niewymowny, niepokojący wiatr szedł lśniącem szpalerem tych marek, udekorowaną ulicą herbów i sztandarów, rozwijając żarliwie godła i emblemy¹⁰⁴ falujące w zatchnionej ciszy, w cieniu chmur groźnie wyrosłym nad horyzontem. Potem zjawiali się nagle pierwsi heroldzi na pustej ulicy w galowych strojach, z czerwonymi opaskami na ramionach, lśniący od potu, bezradni, pełni misji i zaaferowania. Dawali znaki w milczeniu, wzruszeni do głębi i pełni uroczystej powagi, i już mroczyła ulica od nadciągającej demonstracji, ciemniały ze wszystkich przecnic szpalery w chrzeście tysięcy nadchodzących nóg. Była to ogromna manifestacja krajów, uniwersalny pierwszy maj, monstr-parada światów. Świat manifestował tysiącem jak do przysięgi wzniesionych rąk, flag i sztandarów, manifestował tysiącem głosów, że nie jest za Franciszkiem Józefem I, ale za kimś o wiele, o wiele większym. Nad wszystkim falował kolor jasnoczerwony, niemal różowy, niewymowny, wyzwalający kolor entuzjazmu. Z San Domingo, z San Salvador, z Florydy nadchodziły delegacje zdyszane i gorące, całe

¹⁰³ *preliminować* – wstępnie szacować dochody i wydatki. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *emblem* a. *emblemat* – tu: znak. [przypis edytorski]

w garniturach malinowych, i kłaniały się melonikami koloru czereśni, spod których ulatywały rozkrzyczane szczygły, po dwa, po trzy. Lśniący wiatr wyostrzał w szczęśliwych przelotach blask trąb, otrzepywał miękko i bezsilnie kanty instrumentów, roniące na wszystkich brzegach ciche miotełki elektryczności. Mimo natłoku, mimo defilady tysięcy, wszystko odbywało się w porządku, ogromna rewia rozwijała się planowo i w ciszy. Są chwile, iż flagi z balkonów falujące gorąco i gwałtownie, wijące się w zrzedłym powietrzu w amarantowych¹⁰⁵ torsjach, w gwałtownych cichych trzepotach, w daremnych wzlotach entuzjazmu – wstają nieruchomo, jak na apel, i cała ulica staje się czerwona, jaskrawa i pełna milczącego alarmu, podczas gdy w pociemniałej dali odlicza się uważnie głucho saluty kanonady, czterdzieści dziewięć detonacji, w mroczniejącym powietrzu.

Potem horyzont chmurnieje raptownie jak przed wiosenną burzą, błyszczą tylko jaskrawo instrumenty orkiestr i w ciszy słychać pomruk ciemniejszego nieba, szum dalekich przestworzy, podczas gdy z pobliskich ogrodów zapach czeremchy nadpływa w skupionych ładunkach i rozładowuje się bezbronne w niewymownych rozprzestrzeniach.

¹⁰⁵ amarantowy – czerwony o lekko fioletowym odcieniu. [przypis edytorski]

XIII

Aż pewnego dnia przy końcu kwietnia było przedpołudnie szare i ciepłe, ludzie szli, patrząc przed siebie w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ziemi przed sobą, i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej gałęzistej sieci drzew szare, duszne niebo leżało ludziom na karku – wichrowato spiętrzone, bezforemnie ciężkie i ogromne jak pierzyna. Ludzie gramolili się spod niego na rękach i nogach, jak chrabąszcze w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułymi różkami słodką glinę. Świat leżał głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś w górze, gdzieś z tyłu i w głębi – błogo bezsilny – i płynął. Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkował gęstą, lśniącą siatką ćwierkania ptasiego narzuconą na ten dzień szary i szedł w głąb, w węzowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic, w głuche zamroczenie czarnoziemu i gliny.

A pod tym bezforemnym ogromem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w dłoniach, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezwiednie.

Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki sypiące szary śrut, którym ćmiło się powietrze. Chodzili ospale pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rzęsistej lub zrezygnowani

milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny przed południem, gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykuło się słońce bladym kiełkiem – wtedy nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i szary welon ćwierkania oddzielił się powoli bladożółcą siatką z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle, w jednej chwili, pusta przed chwilą aleja parku zasiana jest ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była punktem węzłowym wszystkich ulic miasta, i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich i zgrabnych dziewcząt spieszą do pracy, do sklepów i biur, inne na schadzki, ale przez chwil parę, podczas których przechodzą przez ażurowy¹⁰⁶ kosz alei dyszący wilgocią kwiaciarni i nakrapiany trelami ptaków – należą do tej alei i do tej godziny, są – nie wiedząc o tym – statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jak gdyby zrodziły się na deptaku razem z tymi delikatnymi cieniami gałązek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotym tle wilgotnego żwiru, i biegną parę złotych, gorących i kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną i zajdą cieniem, wsiąkną w piasek, jak te filigrany¹⁰⁷ przezrocze, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków.

Ale przez jedną chwilę zaroiły aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny odór alei. Ach, te przewiewne i świeże od

¹⁰⁶ *ażurowy* – dekorowany układem otworów. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *filigran* – rodzaj ornamentu wykonanego z cienkich drucików. [przypis edytorski]

krochmalu¹⁰⁸ koszulki prowadzone na spacer pod ażurowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokrymi pod pachą, schnące w fiołkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i pryszcze – zdrowe, wiosenne wypryski krwi gorącej. Ach, cały ten park jest bezczelnie pryszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami pryszczu, które pękają ćwierkaniem.

Potem aleja znów pustoszeje i po sklepionym deptaku gędoli¹⁰⁹ cicho drucianymi szprychami wózek dziecinny na smukłych resorach. W małym lakierowanym czółenku pogrążone w grządkę wysokich krochmalonych szlar¹¹⁰ fularu¹¹¹ śpi jak w bukicie kwiatów coś od nich delikatniejszego. Dziewczyna, prowadząca powoli wózek, nachyla się czasem nad nim, przechyla na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk, rozkwitły białą świeżością, i rozdmuchuje pieśczośliwie ten bukiet tiulu aż do słodkiego, uśpionego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka, podczas gdy wózek mija smugi cienia – ten przepływ obłoków i światła.

Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący

¹⁰⁸ *krochmal* – mączka kartoflana gotowana w wodzie i stosowana do usztywniania tkanin. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *gędolić* – dźwięczec (por. daw. gędźba: muzyka). [przypis edytorski]

¹¹⁰ *szlara* – tu zapewne: coś przypominającego miękkie pióra (dosł.: pióra wokół oczu sowy). [przypis edytorski]

¹¹¹ *fular* – tu: delikatny jedwab. [przypis edytorski]

wirydarz¹¹² światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca świergot ptaszków – z gałęzi na gałązkę, sypie się perliście przez drucianą klatkę dnia, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękane wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę popołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.

¹¹² *wirydarz* – ozdobny ogród. [przypis edytorski]

XIV

Codziennie o tej samej godzinie przechodzi Bianka ze swą guwernantką¹¹³ przez aleję parku. Cóż powiem o Biance, jakże ją opiszę? Wiem tylko, że jest w sam raz cudownie zgodna ze sobą, że wypełnia bez reszty swój program. Z sercem ściśniętym głęboką radością widzę za każdym razem na nowo, jak – krok za krokiem – wchodzi w swą istotę, lekka jak tanecznica, jak nieświadomie trafia każdym ruchem w samo sedno.

Idzie całkiem zwyczajnie, nie z nadmierną gracją, ale z prostotą chwytającą za serce, i serce ściska się ze szczęścia, że można tak po prostu być Bianką, bez żadnych sztuk i bez żadnego napięcia.

Raz podniosła powoli swe oczy na mnie i mądrość tego spojrzenia przeniknęła mnie na wskroś, przeszła jak strzała na wylot. Odtąd wiem, że nic nie jest jej tajne, że zna wszystkie moje myśli od początku. Od tej chwili oddałem się jej do dyspozycji, bez granic i niepodzielnie. Przyjęła ledwo widocznym skinieniem powiek. Stało się to bez słowa, w przejściu, w jednym spojrzeniu.

Gdy chcę ją sobie wyobrazić, mogę przywołać tylko jeden szczegół, nic nie znaczący: jej spierzchniętą skórę na kolanach, jak u chłopca, co jest głęboko wzruszające i prowadzi myśl w dręczące przesmyki sprzeczności, pomiędzy uszczęśliwiające

¹¹³ *gubernantka* – prywatna nauczycielka domowa. [przypis edytorski]

antynomie¹¹⁴. Wszystko inne, powyżej i poniżej, jest transcendentne i niewyobrażalne.

¹¹⁴ *antynomia* – sprzeczność. [przypis edytorski]

XV

Zagłębiłem się dziś znowu w markownik¹¹⁵ Rudolfa. Co za cudowne studium! Ten tekst jest pełen odsyłaczy, aluzji, napomknięć i pełen dwuznacznego migotania. Ale wszystkie linie zbiegają się w Bianco. Co za uszczęśliwiająca supozycja¹¹⁶. Od węzła do węzła biegnie moje podejrzenie, jak wzdłuż lontu, zażegniete¹¹⁷ świetlistą nadzieją – coraz bardziej olśnione. Ach, jak mi ciężko, jak ściska się serce od tajemnic, które przeczuwam.

¹¹⁵ *markownik* – klaser ze znaczkami, wykonany przez odpowiednie zaginanie kartek zeszytu. [przypis edytorski]

¹¹⁶ *supozycja* – tymczasowe, niezweryfikowane założenie. [przypis edytorski]

¹¹⁷ *zażegniete* (daw.) – zapalony. [przypis edytorski]

XVI

W parku miejskim gra teraz codziennie wieczorem muzyka i przez aleje przesuwają się promenady¹¹⁸ wiosenna. Krążą i nawracają, mijają i spotykają się w symetrycznych, wciąż powtarzających się arabeskach¹¹⁹. Młodzi ludzie noszą nowe, wiosenne kapelusze i trzymają niedbale rękawiczki w dłoni. Przez pnie drzew i żywopłoty świecą w sąsiednich alejach sukienki dziewcząt. Idą te dziewczęta parami, kołysząc się w biodrach, napuszone pianą szlar i wolantów¹²⁰, noszą ze sobą, jak łabędzie, te różowe i białe napuszenia – dzwony pełne kwitnącego muślinu¹²¹ i czasami osiadają nimi na ławce – jakby zmęczone ich pustą paradą – osiadają całą tą wielką różą gazy i batystu¹²², która pęka, przelewając się płatkami. I wtedy odsłaniają się nogi założone jedna na drugą i skrzyżowane – splecione w biały kształt pełen nieodpartej wymowy, a młodzi spacerowicze, mijając je, milkną i bledną, rażeni trafnością argumentu, do głębi przekonani i zwyciężeni.

Przychodzi chwila przed samym zmierzchem i kolory świata

¹¹⁸ *promenada* – tu: przechadzka. [przypis edytorski]

¹¹⁹ *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

¹²⁰ *wolant* – falbana naszyta na sukienkę lub spódnicę. [przypis edytorski]

¹²¹ *muślin* – rodzaj półprzezroczystej tkaniny. [przypis edytorski]

¹²² *batyst* – cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

pięknieją. Wszystkie barwy wstępują na koturny, stają się odświeżone, żarliwe i smutne. Szybko napętnia się park różowym werniksem¹²³, lśniącym lakierem, od którego rzeczy stają się naraz bardzo kolorowe i iluminowane. Ale już w tych barwach jest jakiś lazur zbyt głęboki, jakaś piękność zbyt jaskrawa i już podejrzana. Jeszcze chwila i gąszcz parku ledwie przysypany młodą zielenią, gałęzisty jeszcze i nagi, prześwieca cały na wskroś różową godziną zmierzchu, podbitą balsamem chłodu, napuszoną niewymownym smutkiem rzeczy na zawsze i śmiertelnie pięknych.

Wtedy nagle cały park staje się jak ogromna, milcząca orkiestra, uroczysta i skupiona, czekająca pod podniesioną pałeczką dyrygenta, aż muzyka w niej dojrzeje i wzbierze, i nagle nad tą ogromną, potencjalną i żarliwą symfonią zapada szybki i kolorowy zmierzch teatralny, jak gdyby pod wpływem tonów nabrzmiewających gwałtownie we wszystkich instrumentach – wysoko gdzieś przeszywa młodą zielenią głos wilgi, zaszytej w gęstwinie – i nagle naokoło staje się uroczyście, samotnie i późno jak w wieczornym lesie.

Ledwo wyczuwalny powiew przyływa przez wierzchołki drzew, z których osypuje się dreszczem suchy nalot czeremchy – niewysłowiony i gorzki. Przesypuje się wysoko pod zmierzchającym niebem i spływa bezgranicznym westchnieniem śmierci ten gorzki aromat, w który pierwsze gwiazdy ronią swe

¹²³ *werniks* – substancja na bazie żywicy, którą pokrywa się powierzchnię obrazów olejnych. [przypis edytorski]

łyzy, jak kwiatki bzu uszczknięte z tej nocy bladej i liliowej. (Ach, wiem: jej ojciec jest lekarzem okrętowym, jej matka była kwarteronką¹²⁴. Na nią to czeka w przystani noc w noc ten mały ciemny parowiec rzeczny, z kołami po bokach, i nie zapala latami).

Wtedy w te krążące pary, w tych młodzieńców i te dziewczęta, spotykające się wciąż w regularnych nawrotach, wstępuje jakaś dziwna siła i natchnienie. Każdy z nich staje się jak Don Juan¹²⁵ piękny i nieodparty, wychodzi z siebie dumny i zwycięski i osiąga w spojrzeniu tę moc zabójczą, od której serca dziewczęce truchleją. A dziewczętom pogłębiają się oczy, otwierają się w nich jakieś głębokie ogrody rozgałęzione alejami, labirynty parków ciemne i szumiące. Źrenice ich rozszerzają się odświeżonym blaskiem, otwierają się bez oporu i wpuszczają tych zdobywców w szpalery swych ciemnych ogrodów, rozchodzących się ścieżkami wielokrotnie i symetrycznie jak strofy kancony¹²⁶, ażeby spotkać się i znaleźć, jak w smutnym rymie, na różowych placach, dookoła okrągłych klombów, albo przy fontannach płonących bardzo późnym ogniem zorzy i znów rozejść i rozlać się między czarne masy parku, wieczorne gęstwiny, coraz gęstsze i szumniejsze, w których ztracają się i gubią jak wśród zawitych kulis,

¹²⁴ *kwarteronka* – córka białego i mulatki. [przypis edytorski]

¹²⁵ *Don Juan* – legendarny uwodziciel, bohater licznych oper i dramatów. [przypis edytorski]

¹²⁶ *kancona* a. *canzona* – włoska pieśń wielogłosowa. [przypis edytorski]

aksamitnych kotar i zacisznych alkierzy¹²⁷. I nie wiadomo kiedy zachodzą przez chłód tych mroczniejszych ogrodów w całkiem zapomniane, obce ustronia, w inny jakiś, ciemniejszy szum drzew, płynący żałobnym kirem¹²⁸, w którym ciemność fermentuje i wyradza się, a cisza psuje się w ciągu lat milczenia i rozkłada fantastycznie, jak w starych, zapomnianych beczkach po winie.

Tak błędząc po omacku w czarnym pluszu tych parków, spotykają się wreszcie na samotnej polanie, pod ostatnią purpurą zorzy, nad sadzawką, która od wieków zarasta czarnym szlamem, i na kruszejącej balustradzie, gdzieś na rubieży¹²⁹ czasu, u tylnej furtki świata, odnajdują się z powrotem w jakimś dawno minionym życiu, w dalekiej preegzystencji, i włączeni w obcy czas, w kostiumach odległych wieków, szlochają bez końca nad muślinem jakiegoś trenu i wspinając się ku niedosięgłym przysięgom i wchodząc po stopniach zapamiętania, docierają do jakichś szczytów i granic, poza którymi już tylko śmierć jest i zdrętwienie nienazwanej rozkoszy.

¹²⁷ *alkierz* (daw.) – sypialnia w bocznym pokoju. [przypis edytorski]

¹²⁸ *kir* – czarna tkanina, symbol żałoby. [przypis edytorski]

¹²⁹ *rubież* – granica. [przypis edytorski]

XVII

Co to jest zmierzch wiosenny.

Czy dotarliśmy do sedna rzeczy, czy dalej już ta droga nie prowadzi? Jesteśmy u końca naszych słów, które już tu stają się majaczkliwe, bredzące i niepoczytalne. A jednak dopiero za ich rubieżą zaczyna się to, co w tej wiosnie jest nieogarnięte i niewypowiedziane. Misterium zmierzchu! Dopiero poza naszymi słowami, gdzie moc naszej magii już nie sięga, szumi ten ciemny, nieobjęty żywioł. Słowo rozkłada się tu na elementy i rozwiązuje, wraca w swą etymologię¹³⁰, wchodzi z powrotem w głąb, w ciemny swój korzeń. Jak to w głąb. Rozumiemy to dosłownie. Oto ściemnia się, słowa nasze gubią się wśród niejasnych skojarzeń: Acheront¹³¹, Orkus¹³². Podziemie... Czy czujecie, jak mrocznieje od tych słów, jak sypie się kretowiskiem, jak powiało głębią, piwnicą, grobem. Co to jest zmierzch wiosenny? Raz jeszcze stawiamy to pytanie, ten refren żarliwy naszych dociekań, na który nie ma odpowiedzi.

Gdy korzenie drzew chcą mówić, gdy pod darnią¹³³ nabiera

¹³⁰ *etymologia* – pochodzenie wyrazu a. nauka badająca tę kwestię. [przypis edytorski]

¹³¹ *Acheront* (mit. gr.) – jedna z rzek podziemnego świata zmarłych. [przypis edytorski]

¹³² *Orkus* (mit. rzym.) – demon śmierci bądź rządzona przez niego kraina zmarłych. [przypis edytorski]

¹³³ *darni* – warstwa gleby wraz z korzeniami roślin. [przypis edytorski]

się bardzo wiele przeszłości, dawnych powieści, prastarych historyj, gdy nagromadzi się pod korzeniami zbyt wiele zdyszanego szeptu, nieartykułowanej miazgi i tego ciemnego bez tchu, co jest przed wszelkim słowem – wtedy kora drzew czernieje i rozpada się chropawo w grube łuski, w głębokie skiby, otwiera się rdzeń ciemnymi porami, jak futro niedźwiedzie. Pogrążyć się twarzą w tym puszystym futrze zmierzchu, wtedy staje się przez chwilę całkiem ciemno, głucho i bez tchu jak pod wiekiem. Trzeba wtedy przystawić oczy jak pijawki do najczarniejszej ciemności, zadać im lekki gwałt, przecisnąć je przez nieprzeniknione, przepchać na wskroś przez głuchą glebę – i oto nagle jesteśmy u mety, po drugiej stronie rzeczy, jesteśmy w głębi, w Podziemiu. I widzimy...

Nie jest tu wcale ciemno, jak można by przypuszczać. Przeciwnie – wewnątrz pulsuje całe od światła. Jest to, rzecz oczywista, wewnętrzne światło korzeni, błędna fosforescencja¹³⁴, nikłe żyłki poświaty, którymi marmurkowana jest ciemność, wędrujące świetliste majaczenie substancji. Tak samo przecież, gdy śpimy, odcięci od świata, daleko zabłąkani w głębokiej introwersji, w powrotnej wędrówce do siebie – widzimy również, widzimy wyraźnie pod zamkniętymi powiekami, gdyż wtedy myśli zapalają się w nas wewnętrznym łuczywem i tlą się majaczkliwie wzdłuż długich lontów, zaniecając się od węzła do węzła. Tak dokonuje się w nas regresja na całej linii, cofanie się w głąb, powrotna droga do korzeni. Tak rozgałęziamy

¹³⁴ fosforescencja – świecenie w ciemności. [przypis edytorski]

się w głębi anamnezą¹³⁵, wzdrygając się od podziemnych dreszczów, które nas przebiegają, roimy podskórną na całej majaczącej powierzchni. Bo tylko w gorze, w świetle – trzeba to raz powiedzieć – jesteśmy drżąca artykułowaną wiązką melodii, świetlistym wierzchołkiem skowronkowym – w głębi rozsypujemy się z powrotem w czarne mruczenie, w gwar, w bezlik nieskończonych historii.

Teraz dopiero widzimy, na czym ta wiosna rośnie, czemu jest tak niewymownie smutna i ciężka od wiedzy. Ach, nie wierzylibyśmy, gdybyśmy na własne oczy nie widzieli. Oto są labirynty wnętrza, magazyny i spichrze rzeczy, oto są ciepłe jeszcze groby, próchno i mierzwa¹³⁶. Prastare historie. Siedem warstw, jak w dawnej Troi, korytarze, komory, skarbcze. Ile złotych masek, maska przy masce, spłaszczony uśmiechy, wyżarte twarze, mumie, puste poczwarki... Tu są te kolumbaria¹³⁷, te szuflady na umarłych, w których leżą zaschnięci, czarni jak korzenie i czekają na swój czas. Tu są te wielkie drogerie, gdzie stoją na sprzedaż w łzawnikach, tyglach, słojach. Stoją latami w swych regałach, w długich uroczystych porządkach, choć nikt ich nie kupuje. Może ożyli już w przegrodach swych gniazd, już całkiem ozdrowieni, czyści jak kadzidło i wonni – świegocące specyfiki, obudzone

¹³⁵ *anamneza* – przypominanie sobie tego, co wiedzieliśmy przed narodzinami. [przypis edytorski]

¹³⁶ *mierzwa* – nawóz. [przypis edytorski]

¹³⁷ *kolumbarium* – zbiorowy grobowiec z niszami na urny. [przypis edytorski]

niecierpliwe leki, balsamy i maści poranne ważące swój wczesny smak na końcu języka. Te zamurowane gołębniki pełne są wykluwających się dzióbków i najpierwszego, próbującego, świetlistego ćwierkania. Jak porannie i przed wszelkim czasem robi się nagle w tych pustych i długich szpalerach, gdzie umarli budzą się rzędem, głęboko wypoczęci – do całkiem nowego świtu!...

*

Ale nie tu koniec jeszcze, zstępujemy głębiej. Tylko bez strachu. Proszę mi podać rękę, krok jeszcze i jesteśmy u korzeni i natychmiast staje się gałęzisto, mrocznie i korzennie jak w głębokim lesie. Pachnie darnią i próchnem, korzenie wędrują w ciemności, płaczą się, wstają, soki wstępują w nich w natchnieniu, jak w pijących pompach. Jesteśmy po drugiej stronie, jesteśmy u podszewki rzeczy, w ciemności fastrygowanej płaczącą się fosforescencją. Co za krążenie, ruch i ciżba! Co za mrowie i miazga, ludy i pokolenia, tysiącrotnie rozmnożone biblie i iliady! Co za wędrówka i tumult, płatanina i zgiełk historii! Dalej już ta droga nie prowadzi. Jesteśmy na samym dnie, u ciemnych fundamentów, jesteśmy u Matek. Tu są te nieskończone inferna, te beznadziejne obszary osjaniczne¹³⁸,

¹³⁸ *osjaniczny* – charakterystyczny dla klimatu *Pieśni Osjana*, poematu Jamesa Macphersona opublikowanego przezeń jako średniowieczny poemat celtycki. [przypis edytorski]

te opłakane nibelungi¹³⁹. Tu są te wielkie wylegarnie historii, te fabryki fabulistyczne¹⁴⁰, mgliste fajczarnie fabuł i bajek. Teraz wreszcie rozumie się ten wielki i smutny mechanizm wiosny. Ach, ona rośnie na historiach. Ile zdarzeń, ile dziejów, ile losów! Wszystko cośmy kiedykolwiek czytali, wszystkie zasłyszane historie i wszystkie te, które się nam majączą od dzieciństwa – nigdy nie zasłyszane – tu, nie gdzie indziej jest ich dom i ojczyzna. Skądże by pisarze brali swe koncepcje, skądże by czerpali odwagę do wymyślania, gdyby nie czuli za sobą tych rezerw, tych kapitałów, tych rozliczeń stokrotnych, którymi wibrują Podziemia. Co za plątanina szeptów, co za mruczący gwar ziemi! O ucho twoje pulsuje niewyczerpana perswazja. Idziesz z przymkniętymi oczyma w tym ciepłe szeptów, uśmiechów i propozycji, nagabywany bez końca, nakłuwany tysiącrotnie pytaniami, jak milionami słodkich ssawek komarzy. Chciałyby, byś wziął coś od nich, cokolwiek, szczyptę choć tych bezcielesnych, szepczących dziejów, i przyjął to w swe młode życie, w krew swoją, i ocalił i żył z tym dalej. Bo czymże jest wiosna, jeśli nie zmartwychwstaniem historyj. Ona jedna wśród tych bezcielesnych jest żywa, rzeczywista, chłodna i nic nie wiedząca. O, jakże ciągnie te widma do jej młodej zielonej krwi, do jej roślinnej niewiedzy, wszystkie te

¹³⁹ *nibelungi* – mityczne karły z germańskich podań, uwiecznione m.in. w twórczości operowej Richarda Wagnera. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *fabryki fabulistyczne* – fabryki opowieści. [przypis edytorski]

fantomy, te larwy, te farfarele¹⁴¹. A ona bierze je w swój sen bezbronna i naiwna, i śpi z nimi, i budzi się nieprzytomna o świcie, i nic nie pamięta. Dlatego jest tak ciężka tą całą sumą zapomnianego, i tak smutna, bo musi sama jedna żyć za tyle żywotów, za tyle odrzuconych i poniechanych być piękną... A ma na to tylko bezdenną woń czeremchy, płynącą jednym, wiecznym, nieskończonym tokiem, w którym jest wszystko... Bo cóż znaczy zapomnieć. Na starych historiach wyrosła przez noc nowa zieleń, miękki nalot zielony, jasne gęste pączkowanie wysypało się wszystkimi porami równomierną szczecinką jak czupryniki chłopców nazajutrz po ostrzyżeniu. Jak zazielenia się wiosna zapomnieniem, jak odzyskują te stare drzewa słodką i naiwną niewiedzę, jak budzą się gałązkami nie obciążone pamięcią, mając korzenie pogrążone w starych dziejach! Ta zieleń będzie je jeszcze raz czytała jak nowe i sylabizowała od początku i od tej zieleni odmłódzą się historie i zaczną się raz jeszcze, jakby się nigdy nie odbyły.

Tyle jest nie urodzonych dziejów. O, te żałosne chóry wśród korzeni, te przegadujące się nawzajem gawędy, te niewyczerpane monologi wśród nagle wybuchających improwizacyj! Czy starczy cierpliwości, by ich wysłuchać. Przed najstarszą zastłyszaną historią były inne, których nie słyszeliście, byli bezimienni poprzednicy, powieści bez nazwy, epepeje ogromne, blade i monotonne, bezkształtne byliny¹⁴², bezforemne kadłuby,

¹⁴¹ *farfarele* – psotne, nieszkodliwe diabełki. [przypis edytorski]

¹⁴² *bylina* – rosyjska pieśń ludowa opiewająca losy bohatera. [przypis edytorski]

giganci bez twarzy zalegający horyzont, ciemne teksty pod wieczorne dramaty chmur, a dalej jeszcze – książki-legendy, książki nigdy nie napisane, książki-wieczni pretendenci, błędne i stracone książki *in partibus infidelium*¹⁴³...

*

Między wszystkimi historiami, które się tłoczą nie wyplątane u korzeni wiosny, jest jedna, która już dawno przeszła na własność nocy, osiadła na zawsze na dnie firmamentów – wieczny akompaniament i tło gwiazdzistych przestworzy. Przez każdą noc wiosenną, cokolwiek by się w niej działo, przechodzi ta historia wielkimi krokami ponad ogromny rechot żab i nieskończony bieg młynów. Idzie ten mąż pod mlewem¹⁴⁴ gwiazdzistym sypiącym się z żaren¹⁴⁵ nocy, idzie wielkimi krokami przez niebo, tuląc dzieciątko w fałdach płaszcza, ciągle w drodze, w nieustannej wędrówce przez nieskończone przestrzenie nocy. O, żałość ogromna samotności, o, niezmierzone sieroctwo w przestrzeniach nocy, o, blaski dalekich gwiazd! W tej historii czas nic już nie zmienia. W każdym momencie przechodzi ona właśnie przez gwiazdne horyzonty, właśnie mijają nas wielkimi krokami i tak już będzie zawsze, wciąż na nowo, gdyż raz wykolejona z torów czasu już

¹⁴³ *in partibus infidelium* (łac.) – w krajach niewiernych. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ *mlewo* – zboże w trakcie mielenia. [przypis edytorski]

¹⁴⁵ *żarna* – kamienie dawniej używane do mielenia zboża. [przypis edytorski]

stała się niezgruntowana, bezdena, przez żadne powtarzanie nie wyczerpana. Idzie ten mąż i tuli dziecko w ramionach – rozmyślnie powtarzamy ten refren, to motto żałosne nocy, ażeby wyrazić tę intermitującą¹⁴⁶ ciągłość przechodzenia, chwilami przesłanianą plątaniną gwiazd, chwilami całkiem niewidoczną przez długie, nieme interwały¹⁴⁷, przez które przewiewa wieczność. Dalekie światy podchodzą całkiem blisko – straszliwie jaskrawe, przesyłają przez wieczność gwałtowne sygnały w niemych, niewymownych raportach – a on idzie i uspokaja bez końca dziewczynkę, monotonnie i bez nadziei, bezsilny wobec tamtego szeptu, tych straszliwie słodkich perswazyj nocy, tego jedyne słowa, w które formują się usta ciszy, gdy nikt jej nie słucha...

To jest historia o porwanej i zamienionej księżniczce.

¹⁴⁶ *intermitujący* (z łac.) – przerywany. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *interwał* – przerwa, odstęp. [przypis edytorski]

XVIII

A gdy późną nocą wracają cicho do rozległej willi wśród ogrodów, do białego, niskiego pokoju, w którym stoi długi, czarny, lśniący fortepian i milczy wszystkimi strunami, a przez wielką szklaną ścianę, jakby przez szyby oranżerii, cała noc wiosenna się nachyla – blada i mżąca gwiazdami – z wszystkich flakonów i naczyń pachnie gorzko czeremcha nad chłodną pościelą białego łóżka – wtedy przez wielką i bezsenną noc biegają niepokoje i nasłuchiwanie i serce przez sen gada, i leci, i potyka się, i szlocha przez rozległą i rośną, ćmami zarojoną noc, gorzką od czeremchy i świetlistą... Ach to ta gorzka czeremcha rozszerza tak noc bezdenną i serce znękaną od lotów, zbiegane od gonitw szczęśliwych, chciałoby usnąć na chwilę na jakiejś napowietrznej granicy, na jakiejś najcieńszej krawędzi, ale z tej bladej nocy bez końca wciąż nowa noc się wyprzestrzenia, coraz bledsza i bardziej bezcielesna, porysowana w świetliste linie i gzygzaki¹⁴⁸, w spirale gwiazd i bladych lotów, tysiąckrotnie nakłuta od ssawek niewidzialnych komarów, bezszelestnych i słodkich od krwi dziewczęcej, i serce niestrudzone już znów plecie przez sen, niepoczytalne, zaplątane w gwieździste i zawile afery, w zdyszane pośpiechy, w księżycowe popłochy, wniebowzięte i stokrotne, wplecione w blade fascynacje, w drętwe, lunatyczne sny i dreszcze letargiczne.

¹⁴⁸ gzygzak – dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

Ach, te wszystkie porwania i gonitwy tej nocy, zdrady i szeptu, Murzyni i sternicy, kraty balkonów i nocne żaluzje, muślinowe sukienki i welony wiejące za zdyszana ucieczką!... Aż wreszcie poprzez nagłe zmroczenie, głuchą i czarną pauzę, przychodzi ta chwila – wszystkie marionetki leżą w swych pudełkach, wszystkie firanki zasunięte i wszystkie oddechy dawno przesądzone idą spokojnie tam i sam przez całą szerokość tej sceny, podczas gdy na uspokojonym rozległym niebie świt buduje bezgłośnie swe dalekie miasta różowe i białe, swe jasne, wydęte pagody¹⁴⁹ i minarety¹⁵⁰.

¹⁴⁹ *pagoda* – buddyjska świątynia w formie wieży, której każde piętro posiada wygięty dekoracyjny daszek. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *minaret* – wieża przy meczecie, z której muzzein nawołuje do modlitwy. [przypis edytorski]

XIX

Dopiero dla uważnego czytelnika Księgi staje się natura tej wiosny jasną i czytelną. Te wszystkie poranne przygotowania dnia, cała jego wczesna toaleta, wszystkie te wahania, wątpliwości i skrupuły wyboru – odsłaniają swe sedno wtajemniczonemu w marki¹⁵¹. Marki wprowadzają w tę zawiłą grę dyplomacji porannej, w te przewlekłe rokowania, lawirowania atmosferyczne, które poprzedzają ostateczną redakcję dnia. Z rudych mgieł tej dziewiątej godziny – widać to wyraźnie – chciałby wysypać się pstry i plamisty Meksyk z węzem wijącym się w dziobie kondora, gorący i spierzchły jaskrawym wypryskiem, ale w przerwie błękitu, w wysokiej zieleni drzew papuga powtarza wciąż: „Gwatemala”, uparcie, w równych odstępach, z tą samą intonacją, i od tego zielonego słowa staje się powoli czereśniowo, świeżo i liściasto. I tak powoli wśród trudności i konfliktów odbywa się głosowanie, ustala się tok ceremonii, lista parady, protokół dyplomatyczny dnia.

W maju były dni różowe jak Egipt. Na rynku blask wylewał się ze wszystkich granic i falował. Na niebie spiętrzenia letnich obłoków klęczały skłębione pod szczelinami blasku, wulkaniczne, obrysowane jaskrawo, i – Barbados, Labrador, Trinidad – wszystko zachodziło w czerwień, jakby widziane przez rubinowe okulary, i przez te dwa, trzy puls,

¹⁵¹ marka (daw.) – znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

zmroczenia, przez to czerwone zaćmienie krwi, uderzającej do głowy, przepływała przez całe niebo wielka korweta Gujany, eksplodując wszystkimi żaglami. Sunęła wzdęta, prychając płótnem, holowana ciężko wśród wypiętych lin i krzyku holowników, przez wzburzenia mew i czerwony blask morza. Wtedy wyrastał na całe niebo i rozbudowywał się szeroko ogromny, pogmatwany takielunek¹⁵² sznurów, drabin i żerdzi, i grząc wysoko rozpiętym płótnem, rozbijał się wielokrotny, wielopiętrowy spektakl napowietrzny żagli, rejów¹⁵³ i brasów¹⁵⁴, w którego lukach ukazywali się przez chwilę mali zwinni Murzynkowie i rozbiegali się w tym płóciennym labiryncie, gubiąc się wśród znaków i figur fantastycznego nieba zwrotników.

Potem sceneria zmienia się, na niebie, w masywach chmur kulminowały aż trzy na raz różowe zaćmienia, dymiła lśniąca lawa, obrysowując świetlistą linią groźne kontury obłoków, i – Kuba, Haiti, Jamajka – rdzeń świata szedł w głąb, dojrzewał coraz jaskrawiej, docierał do sedna i nagle wylewała się czysta esencja tych dni: szumiąca oceaniczność zwrotników, archipelagijskich lazurów, szczęśliwych roztoczy i wirów, ekwatorialnych¹⁵⁵ i słonych monsunów¹⁵⁶.

¹⁵² *takielunek* – olinowanie statku. [przypis edytorski]

¹⁵³ *rejów* – dziś popr.: *rej*; *reja* – poziome drzewce, do którego umocowany jest żagiel. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *bras* – lina, za której pomocą manipuluje się żaglami w płaszczyźnie poziomej. [przypis edytorski]

¹⁵⁵ *ekwatorialny* – równikowy. [przypis edytorski]

Z markownikiem w ręku czytałem tę wiosnę. Czyż nie był on wielkim komentarzem czasów, gramatyką ich dni i nocy. Ta wiosna deklinowała się¹⁵⁷ przez wszystkie Kolumbie, Kostaryki i Wenezuele, bo czymże jest w istocie Meksyk i Ekwador, i Sierra Leone, jeśli nie jakimś wymyślnym specyfikiem, jakimś zaostreniem smaku świata, jakąś krańcową i wyszukaną ostatecznością, ślepą uliczką aromatu, w którą zapędza się świat w swych poszukiwaniach, próbując się i ćwicząc na wszystkich klawiszach.

Główna rzecz, ażeby nie zapomnieć – jak Aleksander Wielki – że żaden Meksyk nie jest ostateczny, że jest on punktem przejścia, który świat przekracza, że za każdym Meksykiem otwiera się nowy Meksyk, jeszcze jaskrawszy – nadkolory i nadaromaty...

¹⁵⁶ *monsun* – wiatr sezonowo zmieniający kierunek, występujący u południowych i wschodnich wybrzeży Azji, w Zatoce Gwinejskiej i w Ameryce Środkowej. [przypis edytorski]

¹⁵⁷ *deklinować się* – odmieniać się przez przypadki i liczby. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.